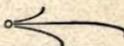
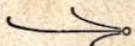


Nr 250

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr 216.

146.

WYBÓR NOWEL   
 FRANCUSKICH

PRZEŁOŻYŁ  
**Biblioteka Parafialna  
Świętojańska w Wilnie.**  
JAN LORENTOWICZ.



Cena 40 kop.

W pren. 30¼ kop.

WARSZAWA

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

—  
1902.

№

~~171~~

Stanisław Niewiarowski.

146

WYBÓR NOWEL FRANCUSKICH.

Biblioteka Parafialna  
Świętojańska w Wilnie.

# Wybór nowel francuskich

PRZEŁOŻYŁ

Jan Lorentowicz.

---

*Ernest Hello: Ludwik; Oktawiusz  
Mirbeau: Waryat; Juliusz Le-  
maitre: Myrra; Marcei Schwob:  
Domm; Leon Bloy: Pasterka; Ana-  
tol France: Polano; Rachilde: Pan-  
tera; Villiers de l'Isle Adam: Nie-  
biańska przygoda.*

---

WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy-Świat 47.



286842

Дозволено Цензурою.  
Варшава 4 Января 1902 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0174030

W/184/05p

ERNEST HELLO

LUDWIK.

I.

Rodzina S. była niezmiernie bogatą. Pan Ludwik S. mógł liczyć lat pięćdziesiąt, żona jego Amelia miała ze czterdzieści, a córka Anna, piętnaście lub szesnaście. Mieszkali przy ulicy de la Paix, we wspólnym własnym pałacu. Posiadali dziesięć powozów i dwadzieścia koni. W zimie spędzali noce na balach i widowiskach. Spali całe ranki, ubierali się około drugiej po południu, pomiędzy czwartą a szóstą jeździli do Lasku Bulońskiego i zasiadali do obiadu. Potem znów się przebierali, by pójść do teatru lub na wieczór, albo też jedno i drugie.

Latem podróżowali po Szwajcaryi i Włoszech, lub spędzali czas dłuższy w pięknej posiadłości około Angers nad brzegami Loary.

Każda kobieta, spotykając Amelię, mówiła sobie w duszy: „Jakaż ona szczęśliwa!” Każda młoda dziewczyna, widząc Annę, marzyła o niezliczonych warunkach szczęścia, jakimi los ją obdarzył.

W towarzystwie obie kobiety bywały bardzo wesole. U obcych ludzi przybierały zawsze nastrój świąteczny. Mniej dobrze były usposobione, gdy przyjmowały u siebie.

Ludwik, jako ojciec, Ludwik, jako mąż, nie śmiał się nigdy; kobiety nie śmiały się również w jego obecności. Nikt nie wiedział, dlaczego chmura zalegała horyzont, gdy Ludwik wchodził do pokoju, ani

z jakich oparów tworzyła się ta chmura; fakt istnienia jej przecież był oczywistym.

Pewien młodzieniec, niezbyt zamożny, oświadczył się o rękę Anny.

Panienska i jej matka rade były przyjąć go życzliwie.

Ojciec dał odpowiedź odmowną,

— Nasza córka — zauważyła Amelia — posiada bogactwa za dwoje. Po cóż jej majątek, jeżeli, zamiast swobody, ma jej dać niewolę?

Wzrok Ludwika stał się przeraźliwie ostrym, a usta pozostały nieme. Napróżno Anna dodała kilka słów drżących.

Ludwik odpowiedział rodzinie konkurenta, że córka się nie zgadza i że nie zdołał jej przekonać, mimo wszelkich nalegań

Wieczorem tegoż dnia wydał kucharce dziwne, niczem niewytłómaczone, niespodziane rozkazy, które raz na zawsze zmniejszały ilość spożywanych dotychczas potraw. Dnia następnego wymawiał jej przy śniadaniu, że użyła za wiele masła do omletu.

— Dziecko moje, jesteśmy zgubione — zawołała matka do Anny, gdy pozostały same.

W kilka dni później Ludwik oświadczył kobiecie, że sprzedał posiadłość wiejską, gdzie znajdowały cień i chłód podczas letnich upałów.

W kilka miesięcy później oznajmił im, iż sprzedał pałac, w którym otaczały je zimną wygodą i wspałością Paryża. Wolę swą wypowiadał tonem ostrym, w kilku wyrazach.

Namiętność Ludwika wzrastała powoli, jak chmura nabrzmiała grzmotami. Najpierw widać tylko czarny punkcik, potem horyzont się zaciemnia, nieprzyjaciel zbliża się z głuchym pomrukiem, wreszcie wybuch gniew i rolnik widzi całoroczną swą pracę zniszczoną w ciągu kilku minut.

Początki były zaledwie dostrzegalne. Zaprowadzano drobne oszczędności, które wyglądały dziwnie

wobec wielkiego majątku, ale same w sobie nie stanowiły jeszcze klęski. Były to szczegóły, drobiazgi, chociaż niekiedy wobec nich dreszcz przebiegał Amelię. W każdym z tych szczegółów, zaledwie widzialnych, malowało się skapstwo, potwór potężny z całym swem szaleństwem i wściekłością.

Sprzedano dziesięć karet, nie odrazu, lecz powoli, jedną po drugiej. Odprawiono służących. Każdy z faktów przechodził prawie niedostrzeżenie; wszystkie razem ciążyły, jak burza lub dusząca zmora. Pewne oszczędności, robione naprzykład na świecach lub kawie, wydawały się, w całości zmian, wprost nieprawdopodobnymi.

Lecz co robił Ludwik z wielkimi sumami, które mu wpłynęły ze sprzedaży majątków? Nikt tego nie wiedział.

Gdy pałac sprzedano, cała rodzina wyjechała.

## II.

W trzy lata później uwagę mieszkańców dzielnicy Grastin, w mieście Nantes, zwracał dom o dziwnym wyglądzie. Mieszkał tam mężczyzna i dwie kobiety. Nikt w okolicy nie wiedział, czy ludzie ci byli biedni, czy bogaci. Stróż domu, który przecież wiedział wiele rzeczy, nie umiał na to odpowiedzieć.

Dopytywał się służących, ale ci nie odpowiedzieli, lub nie nie wiedzieli, a może zmuszeni byli zachowywać straszną dyskrecję.

Mówię straszną, gdyż na tym naszym względnym świecie, podobnym do muru granicznego, na tym świecie rzeczy niedokończonych — to, co zupełnie jest doskonałe i absolutne — staje się niemal przerażającym.

Popatrzmy przez okno, jak nam pozwala na to nasze położenie, lub przewieramy sufit, jednym słowem

wem, przeniknijmy do wnętrza tego tajemniczego domu. Mieszka tu pan Ludwik ze swą żoną i córką.

Gdy kobiety są same, wspominają jeszcze miniony przepych, ośmielają się odczuwać żale i nadzieje! Odważają się na płacz, czasem na śmiech. Życie pulsuje w nich i pomiędzy niemi. Ale gdy zjawia się ten, który jest ojcem i mężem, serca ich bić przestają.

Śmierć zasiadła na jego czole, jak królowa na tronie. Wydaje ztamtąd rozkazy, wypełniane posłusznie i prędkiej, nim zostaną wypowiedziane. Strach zdejmuje obiedwie kobiety. Sumienie, podległe despotyzmowi bożyszczu, wyrzuca im prawie zachowanie resztek majątku, niby skarbów, wydartych temu Lochowi. Rzekłbyś, iż wszystko, co posiadają, jest własnością ukrytego boga-złota i że kradną mu to, czego nie sprzedają.

Zda się, że w oczach arcykapłana, który zwie się Ludwikiem, czytają wyrzuty boga, który zwie się złotem. Z każdym dniem zmniejsza się dostatek, z każdym dniem znika coś z mieszkania, z każdym dniem czoło pana domu staje się chmurniejszym, a wzrok jego podejrzliwszym, z każdym dniem zacieśnia się krąg wydatków dozwolonych i wzrastają straszliwe oszczędności. Ludwik czyni wysiłki, by otrzymywać zaproszenia na obiad i szuka pozorów, by nie zapraszać wzajemnie. Dawniej starał się, by te pozory były prawdopodobne. Obecnie wynajduje preteksty, a gdy mu ich brakuje, stwarza zupełnie niedorzeczne. Nie zaprasza do siebie nigdy. Ostatnim pretekstem, który występuje w braku innych, jest choroba żony. Pewnego razu zrobił jej nawet scenę w nadziei, iż się rozchoruje i nie będzie mogła przyjąć gości.

Dnia tego Amelia rzekła do córki:

— Przygotuj się na wielkie nieszczęścia. Nie dla nas ten dom. Zamieszkamy w jakiej lepiance. skąd odprowadzą nas na cmentarz.

### III.

Nędza i bieda są rzeczami zgoła odrębnymi. W kilka lat po nieudanem małżeństwie Anny, Ludwik z żoną i córką zamieszkali w Hennebout przy ulicy, która prowadziła do kościoła. Nie wyglądali na ludzi żyjących w ostatecznej biedzie, lecz na istoty nędzne nad wszelki wyraz. Poprzez wszystko przezierają tam coś wstrętnego. Gdy przy stole Ludwik nalewał wina żonie lub córce, powolnym ruchem ręki zdawał się wymawiać im, że nie usuwają szklanki dość prędko. Gdy chodziło o podanie kawy (kropla kawy była jeszcze dozwoloną w pierwszych czasach pobytu w Hennebout, lecz prędko została zniesioną), gdy więc chodziło o podanie tych ostatnich kropli kawy, zachodziły sceny równie śmieszne, jak okropne. Z każdym miesiącem ilość potraw obiadowych stawała się skromniejsza. Ludwik zalecał wstrzemięźliwość, która, jego zdaniem, przedłużała życie. Znał przecież ludzi, których nadużycia gastronomiczne przyprawiły o podagrę i kamienie w nerkach. Z ust mu nie schodziły te smutne przykłady.

Ubranie kobiet, które zrazu stało się nader prostem, powoli stawało się brudnem. Wkrótce zaczęły nosić zimą letnie suknie. Pan domu oświadczył, że ogień zbyt wycieńcza. Radził, aby iść za głosem przyrody, która jeśli zsyła chłód zimą, to dlatego, że jest dla nas dobrym; cały zaś przepych, którym otaczają się kobiety, musi je denerwować.

Przymus, mrozący duszę, zapanował w domu. Ktokolwiek doń przenikał, doznawał wrażenia, jak gdyby dostawał się pod klosz maszyny pneumatycznej. Brak było powietrza do oddechu. Nawet, gdy nie wchodziły w grę pieniądze, czuć się dawała potworna oszczędność, stosowana do wszystkiego. Ludwik ledwo oddychał, jak gdyby chciał oszczędzać na powietrzu, inni zaledwie ośmielali się oddychać w jego obecności.

Obawiał się powiedzieć „dzień dobry” nieco serdeczniej, aby nie być zmuszonym opłacić tego w jaki sposób. Gdy się kłaniał, wyglądał jak człowiek, co się dotyka kapelusza, aby go nie zniszczyć. W jego obecności zaledwie ośmielano się siadać, aby krzesła nie zużywać, obawiano się mówić, aby nie razić jego uszu, zmuszonych do słuchania. Przy spotkaniu miało się ochotę zwrócić mu kosza, jakie ponosił. Chęć oszczędzania ciężzyła łożem nad całym domem. Nawet gdy nie było mowy o pieniądzach, myśl o nich dawała się uczuwać we wszystkim. Napełniały one atmosferę swą niewidzialną a potężną obecnością. Zawsze tak bożyszcze naśladuje w swych przejawach bóstwo.

Pewnego dnia Ludwik sprzedał najpiękniejszy ze swych majątków. Dostał do rąk milion w złocie. Stał przed tą masą metalu i mówił do niej, jak gdyby go mogła zrozumieć. Umieścić pieniądze, to znaczyło rozstać się z niemi. A jakże, rozstać się z taką górą złota? Wolałby wydrzeć sobie własne serce. Cóż więc zrobić? Złożyć do szafy? A gdyby kto odgadł? A klucze podrobione! A złodziej! Ach, złodzieje... Wyraz ten wywarł na Ludwika wpływ magiczny. Złodziej nie był w jego oczach zwyczajnym przestępcą. Był to świętokradca, który śmie dotykać się bóstwa, gwałcieciel przybytku, profanujący świętego świętych. Myślał o tem dniem i nocą. Pomiędzy nim i złodziejem wywiązał się stosunek ciągły, głęboki i ścisły. Złodziej przybierał w pojęciu Ludwika rozmiary fantastyczne, chociaż nie przestawał być rzeczywistością. Jak postąpić ostatecznie? Zdecydował się na szafę, która stała w jego pokoju sypialnym, a od której klucz nosił zawsze przy sobie, tak jak aptekarz nosi klucz od szafy z truciznami. Gdy już powiedział wszystkim „dobranoc”, zamykał się w fatalnym pokoju i nim się położył, otwierał szufladę i liczył. Przez pewien czas liczył raz dziennie, potem dwa, potem trzy razy.

Obawiał się, czy się nie myli. Obawiał się, czy

niektóre sztuki monety nie wpadają w szpary. Obawiał się, czy jaka ręka niewidzialna a świętokradzka nie dokonała zamachu, którego on nie śmiał nazwać właściwem imieniem, bo wyraz „złodziej” nie pojawiał się już na jego ustach. Nie wiedział sam, czego się obawiał, lecz strach nie opuszczał go ani na chwilę. Przeliczywszy pieniądze trzy razy w ciągu wieczoru, doszedł do olbrzymich postępów. Wstawał jeszcze w nocy, by liczyć.

Nie dowierzał żonie, ani córce. Myślał, że jeśli kobiety odnajdą kryjówkę, trzeba będzie poszukać innej. Ale jak się przekonać, że jeszcze jej nie odnalazły. A gdyby tak wystawić je na próbę? Czegoż obawiał się ze strony żony i córki? Nie wiedział sam i nikt nie mógłby na to odpowiedzieć. Ubóstwiał nie domaga się samotności i lubuje się w tajemnicy.

— Gdybym tak kiedy w nocy udał trupa? — pomyślał.

— Zobaczę, czy biorąc mnie za umarłego, zajrzą do szafy.

Postanowił wykonać ten pomysł.

Pewnej, bardzo chłodnej i bardzo ciemnej nocy zimowej Amelia z córką usłyszały niewyraźne jęki, wydobywające się z pokoju Ludwika. Przybiegły, ujrzały go na środku pokoju, rozciągniętego na ziemi, nieruchomego, bez tetu, podobnego do człowieka, który przyczołgał się do drzwi, by wołać o ratunek i umarł, nim się do nich dowłókł. Obie kobiety zakrzętały się około niego, otaczając go staraniami, które dyktowała nietyle czułość, co inteligencya. Lecz starania okazały się daremnymi. Nic nie pomogły tarcia i nagrzewania.

Wreszcie Amelia rzekła do Anny:

— Czuwaj nad ojcem. Pójdę po doktora.

Umarły przebudził się, usłyszawszy wyraz „doktor”. Obmyślił wszystko, ale zapomniał o tem oczywiście na płatnej konsultacyi. Obawa ta skłoniła go

do przerwania doświadczenia. Chciał przemówić, pokazać, że jest żywym. Lecz zaszła rzecz dziwna. Udawana niemożebność mówienia — stała się faktem. Język zdrewniał i ręce zdrewniały. W zeszywniałych od zimna członkach poczuł zbliżający się paraliż. Pozorny trup stał się prawdziwie konającym. Było w tem coś okropnego. Ale jak poprzednio udał śmierć, tak teraz ukrył chorobę, aby nie wzywano doktora. Jak gdyby ufał, że w widoku bożka zaczerpnie potrzebą siłę, rzucił na swą skrytkę wejrzenie rozpaczliwe, użył nadludzkich wysiłków, by przemówić i dopiął celu, wyrzekłszy słabym głosem, że zabrania wzywać lekarza. Atak minął zupełnie. Tylko usta pozostały wykrzywione, a górna powieka prawego oka opuszczała się z trudnością.

Myślicie może, że złożywszy zdrowie w ofierze złota i spędziwszy noc zimową, pół nagi, na podłodze, zadowolnił się doświadczeniem? Kobiety przecież nie pomyślały nawet o otwieraniu szafy. Ale nie, to mu nie wystarczyło. Przeciwnie, spotęgowało jeszcze jego niepokój.

— Anna — powtarzał sobie — śledziła za moim wzrokiem, gdy otworzyłem oczy. Wyglądała dziwnie, wyglądała na zbrodniarkę.

Rzeczywiście Anna mogła była wyglądać dziwnie. Dziewczyna poczuła poraż pierwszy, ze szczególnem drżeniem serca, że pragnie, nie zdając sobie z tego sprawy, śmierci ojca. Ten wynik rozpacz, który czynił ją zbrodniarką we własnych oczach, przeraził ją nagle, a ojciec pomylił się co do przyczyn wzruszenia córki. Zbrodnie odbijają się w sercach ludzi blisko nich żyjących.

— Wzrok jej pobiegł za moim ku szufladzie — zastanawiał się Ludwik — domyślał się więc czegoś. Nowy dowód w tem, że przez całą resztę nocy siedziała z tej strony pokoju; chwilami opierała się o komodę, dotykającą szafy. Śledziła za memi oczyma. Nieszczęśliwy jestem! Doświadczenie obróciło się na moją zgubę. Muszę poszukać innej skrytki.

Rodzina, niegdyś ogromnie bogata, stała się więc biedną. W jaki sposób zniknął majątek? Nikt nie widział katastrofy, wszyscy widzieli jej skutki. Nikt nie widział faktów, które spowodowały zmianę sytuacji; widziano te, które z niej wynikły. Przyszła ruina i rozgościła się w domu, nikt jednak nie spostrzegł, jak doń weszła. Ludwik sprzedał początkowo najwięcej oddalone ze swych posiadłości, potem inne, później domy, wreszcie dom, który zamieszkiwał ze swą rodziną. Schroniono się do domu najętego, lecz obszernego jeszcze, potem do małego, wreszcie do bardzo małego. Sprzedano przedmioty zbytku, potem przedmioty pożyteczne, później bardzo pożyteczne, później potrzebne, wreszcie niezbędne. Z bogactwa zeszła rodzina do dostatku, z dostatku do mierności, z mierności do niedostatku, z niedostatku do nędzy, z nędzy do czarnej niedoli. W domu opustoszożonym, ogołoconym ze wszystkiego, ponurym, rozpaczliwym, milczącym, Amelia i Anna szeptały sobie: — Mamy kilka milionów. „On” chowa gdzieś pieniądze.

Mówiły „on“, gdyż tym wyrazem zastępujemy chętnie imię tych, których kochamy, i tych, których nienawidzimy. Kobiety nie miały przyjaciół. Przyjaźni sprowadzają skarby widome, nie zaś bogactwa ukryte. Nie miały przyjaciół, prócz swego psa.

Mirro był wiernym. Mirro nie postąpił jak ludzie, nie zniknął razem z dostatkiem. Był to duży pies, wielkości neufundlandczyka, powolny rozkazom, miękki, czuły, a warczący, o ostrych zębach i żółtych oczach i pieszczotliwy, pieszczotliwy nad wszelki wyraz.

Čzęsto Mirro pocieszał obiedwie kobiety, pograżone w niemej i posępnej rozpacz. Mirro o niczem nie wiedział, Mirro był wesoły mimo wszystko, jeszcze więcej miękki i łagodny, odkąd przyszło nieszczeście, jak gdyby przywiązanie dało mu inteligencyje dostateczną do zrozumienia. A że porcyje chleba i mięsa

zmniejszały się z dniem każdym, jak w obłąconem mieście, Anna dzieliła nieraz z Mirro swój posiłek, zaledwie dla niej dostateczny. Kobiety kryły się wzajemnie przed sobą ze swym apetytem, by nie rozrządzać sobie daremnie serca. Nieraz wołały cierpieć same głód, niż patrzeć na cierpienia psa. A gdy obiad był zbyt skromnym, Mirro niczego się prawie nie domagał; można byłoby przypuszczać, że rozumie.

Gdzie zniknął majątek dwóch kobiet? Dowiedziały się tego wreszcie. Co wieczór Ludwik zniknął na chwilę. Dostrzegły to. Śledziły za nim. Zapalał w pierwszych czasach lampę, później świecę, wreszcie łożówkę i schodził w dół po schodach, które znał sam jeden tylko. Schody prowadziły do pewnego miejsca, do którego nikt z rodziny nie przeniknął jeszcze. Chwilami, dniem nawet, rzucał w tym kierunku dziwne spojrzenia. A od pewnego czasu wstawał nocą. Zapalał ascetów, wiernych swym bogom, rosna, jak wiadomo, nieustannie. Wychodząc ztamtąd, rozgorączkowany jeszcze tajną rozmową z ukrytem bożyszczem, nakazywał rodzinie sprzedaż jakiego drogiego przedmiotu, lub nową oszczędność, odczuwając może pewną przyjemność, gdy ofiara była zbyt bolesną. Zdawało mu się, iż złoto winnem mu było wdzięczność, że powinno było brać w rachubę umartwienia, które dlań ponosił, i poświęcenia, których dlań wymagał. Może też patrzył z pewnem zadowoleniem na łzy żony i córki. Może poświęcał je wewnętrznie bożyszczu. Może, gdy był sam na sam ze złotem, mówił doń, padając przed niem na kolana, gdyż stało się dlań żywą istotą, może mówił doń w języku uwielbienia, w języku bez słów: — „Dla ciebie płynie ich krew!” Może w potwornych i dobrowolnych umartwieniach, które nakazywał sobie i innym, znajdował ostrą słodycz, pragnienie cierpienia i zadawania bólu, dla wielbionego przedmiotu. Nie chciałyby umartwiać istot bez czucia.

Z pewną radością patrzył na ruinę swego domu,

poświęconego złotu, domu wyklętego, na który bóstwo-złoto rzuciło swój wzrok straszliwy, piętnując go na ofiarę.

Żona i córka płakały gorzkimi łzami. Rad był temu, gdyż chciał dobrze wywiązać się z obowiązku. Nie chciał nieść w darze straszliwemu Molochowi krwi wylanej bez bólu, pragnął, by ciało ofiar zgrzytało pod piłą. Pragnął dać złotu w okrutnej ofercie swój dom i swą rodzinę, dymiące i drgające, ducha i życie, ciało i płomień.

#### IV.

Dziwnie wyglądał Ludwik, gdy schodził do piwnicy. Widocznem było, iż przygotowywał się do tego, jak do religijnego obrządku. Ukrywał się ostrożnie. W obejściu jego pełno było udawania i przeczności, ale miał także coś, co przypominało wstydlivość wielbiciela, jakąś nieśmiałość, towarzyszącą zachwytem. Nie chciał, by go pojmano na gorącym uczynku ekstazy. Może nawet zdejmowała go pokora. Kto wie, czy nie mówił w tajni ducha wobec tego złotu: — „Nie, nie jestem godzien!” Kto wie, czy ręka jego nie zatrzymywała się w chwili, gdy już dotykał ubóstwianego przedmiotu? Kto wie, czy ta ręka nie pragnęła uprzedniej konsekracji? Ludwik chciał ukryć w cieniu swej miłości stosunki swe z bożyszczem. Chował się, by zapalić świecę, zwyczajną łożówkę. Chował się, gdy schodził do podziemia. Chował się, gdy ztamtąd powracał. Nieobecność swą tłumaczył dziwaczniemi pozorami, którym zadawał kłam blask jego oczu. Miał szczególne wejście, które wbrew jego woli mówiło żonie i córce:

— Idę tam.

Dreszcz wstrząsał niewiastami. Czują, że bożyszcz Ludwika zażąda od bałwochwalcy nowych ofiar, które z konieczności na nich się odbiją. On zas



dzięki swej adoracyi, nie widział w tem ofiary, a raczej pojmował ją o tyle jedynie, o ile się w niej lubował. Kobiety odczuwały ją doskonale i podwójnie. Odczuwały ofiarę samą w sobie i w przerażeniu, jakie budził jej powód. Wolałyby raczej utracić majątek wskutek jakiego zewnętrznego wypadku, klęski, czy rewolucyi. Ale z bogactwa zejść do nędzy, dlatego, że majątek gnije w piwnicy, dać się pochłonąć za życia głuchemu, ślepemu i niememu potworowi, który żąda codzien nowych łupów, który, wszechpotężny i niewidzialny, pożera chleb biednych kobiet, tak jak dawniej wypijał wino, gdy były bogate — znaczy cierpieć jednocześnie wszystkie męki ziemi i piekła. Piekło!... Mówiły wciąż o niem, gdy Ludwik schodził do piwnicy. Wierzyły niemal, że on do prawdziwego piekła schodzi co dzień. Gdy Ludwik w piwnicy ofiarowywał złoto swe serce i swą duszę, swój umysł, ciało, swoją istotność całą, swą żonę i swą córkę — wyobrażały sobie, że we wnętrzach ziemi wielbi jakiegoś kozła, lub plugawą ropuchę. Widziały go na sabacie piekielnym, a wyobrażenia, napozór łudzące, mówiła im rzeczy głębsze i prawdziwsze, niż obrazy rzeczywistości.

Każda religia domaga się ofiar. Co wieczór też Ludwik gotował nową ofiarę, gdy wracał na górę po ciemnych schodach, po skończonej modlitwie. „Co sprzedam jutro rano?“ Groźnem spojrzeniem obejmował dom opustoszony. Żona i córka znały to spojrzenie; drżały przed niem. Ten wzrok, iskrzący się okropnie w ciemno oświetlonym pokoju, był stosem całopalenia, na którym spłonąć miała nowa ofiara; był błyskawicą potwornego piorunu, który codziennie raził nieszczęsne domostwo. Podstępny i niespokojny, biegł wokoło, nakazywał i wstydził się jednocześnie.

Podczas gdy Ludwik przebywał na dole w ciszy, skupieniu i samotności, kobiety rozmyślały o dobrach ziemskich i duchowych, które pochłonęło bożyszcze. Mówiły do siebie wewnątrz: — Byłybyśmy szcze-

śliwe, gdyby pan domu nie był złym. Kochałby nas; jedność, wesołość, dostatek żyłyby w tych murach. Dawalibyśmy szczęście innym. Biedni wychodziliby od nas z pełnemi rękami i z wesołem obliczem. Widzielibyśmy czasem uśmiech na twarzach tych, którzy tak często płaczą...

Budowały zamki na lodzie. Anna widziała w wyobraźni, jak codzien przynosi dzieciom, cierpiącym głód pod okiem matek, nietylko chleb, lecz i ciastka, nietylko ciastka, lecz uśmiechy i kwiaty, fiołki wiosną, latem róże. Chciała dawać nietylko to, co potrzebne, lecz i to, co pożyteczne i przyjemne. W tych marzeniach szczęścia widziała radość naokół siebie. Odgadywała radość, którą odczuwałaby sama. I marzenia, którym dawała wodze, pragnienia, które było tak łatwo, a zarazem tak niepodobieństwem w czyn wprowadzić, potęgowały jeszcze rzeczywisty smutek i rozgoryczenie. Pieniądze były tuż, pod ręką, gotowe i niepożyteczne, prosząc się o użytkowanie.

— Moja córka wyszłaby zamaż — myślała Amelia. — Nie mówi mi o swej przyszości i nie śmieje jej dopytywać. Lecz co myśli w głębi duszy?

Ludwik zaś często klękał, by liczyć złoto, a gdy raz skończył liczenie, rozpoczynał je nanowo i zdawał się mówić:

— Tak, złoto moje, patrz na mnie. Jestem na kolanach przed tobą! Tobie poświęciłem wszystko; zdławiłem żonę i córkę, i biednych, których one żywiły; dla ciebie płynie ich krew. Dla ciebie skazałem się na życie nędzne. Mógłbym używać rozkoszy, dając wzamian ciebie. Bo ty przedstawiasz wszystkie rozkosze życia. Lecz kocham cię dla ciebie samego, chcę cierpieć i ciebie zachować. Lubiłbym życie szerokie i łatwe. Lubiłbym przyjęcia, uroczystości, wielkie obiady, bale i podróże. Lecz wolę napawać się przyjemnością poświęcania tobie tego wszystkiego. Gdyby nie było poświęcenia, na czem polegałby twój tryumf? Nigdy, przenigdy, za królestwo ziemskie,

ani za królestwo niebieskie nie zgodziłbym się uszczuplić mego skarbu o jedną sztukę, a licząc me złote jabłka, znaleźć o jedno mniej, o jedno mniej, o jedno mniej!...

Przy wyrazach „o jedno mniej” Ludwik bladł, i, jak budząc się, szukamy uspokojenia po straszliwych widziadłach sennych, tak on, aby usunąć przerażające przypuszczenia, dotykał swego złota. A gdy go dotykał, namiętność jego przeistaczała się natychmiast. Stawała się czemś okropnem i tajemniczem, czemś, co ściśle nazwać należy fizyczną miłością dla złota. Oczy jego iskrzyły się na widok metalu, krew burzyła się w żyłach. Przykładał rękę do piersi, jak gdyby chcąc powstrzymać bicia serca. Pomiedzy sercem i złotem wytwarzała się łączność tajemnicza, zużywająca życie, które płonęło jak gromnica przed ołtarzem. Złoto zdawało się być żywym. Krew i złoto dążyły ku sobie wzajemnie, szukały wzajemnego uścisku. Pewnego dnia Ludwik skaleczył się w rękę, ściskając w niej konwulsyjnie i niezręcznie ubóstwiany przedmiot. Kropla krwi ukazała się na zranionym palcu. Ludwik patrzył na nią z przyjemnością. Krew dotknęła złota, złoto dotknęło krwi. Prądy magnetyczne krążyły jak strumienie pomiędzy krwią i złotem. Chwilami Ludwik wpatrywał się w metal nieruchomie i nieruchomość ta była straszliwą. Zdawało mu się, iż złoto patrzy nań również, że upojenie jest obustronem, że przyciągnięte jego wzrokiem, zwraca się doń, odpłacając miłością za miłość. Nie był to już pociąg tylko, ale wściekłość szalona. Były to uściski, które w oczach olśnionego i oszołomionego batwochwalcy przybierały postać uścisków wzajemnych, dawanych i odbieranych, pożerających i pożeranych.

Pomiedzy namiętnościami są różnice przypadkowe i podobieństwa zasadnicze. Gdy różnice przypadkowe pochłoniętemi zostały przez podobieństwa zasadnicze, gdy jedna namiętność zapanowała nad wszystkiemi

namiętnościami, dzieją się rzeczy okropne. Jak ziemia rozchyła swe łono podczas trzęsienia, tak otwiera się natura ludzka, pokazując swe otchłanie. Ukazują się wtedy rzeczy przeciwne naturze. Zbliża się okres potworności. Namiętność, która pochłoneła wszystkie inne namiętności, przybiera chwilami ich postać. Oczom widza, patrzącego zdala, ukazuje nie swoje, lecz cudze oblicze, oblicze obce. Namiętności, które pożarła, krążą w jej krwi i wywołują wrzenie swemi płomieniami. Zwycięzki szaf jej zapożycza żywiołów od innych szatów natury ludzkiej, które pochłoneła, lecz których zniszczyć nie zdołała. W imieniu namiętności, która się nasycy innymi, słysząc dziwne i szczególne odgłosy: to łkanie innej namiętności, która się nasycić nie może, to — poryk namiętności zduszonej.

Zdarzyło się pewnego wieczoru, iż Ludwik tarztał się po swem złocie. Gdy go unióśł szaf miłośny, rzucił garść monet, aż się potoczyły. Dźwięk przebudził go z ekstazy. Pomyślał o złodziejach, gdyż nie wytrzeźwiał dostatecznie, aby zrozumieć, co zaszło w rzeczywistości. Złodzieje!... Nabił pistolet. Rozumie się, nikt się nie zjawił; Ludwik zrozumiał swą pomyłkę, ale nie mógł się uspokoić. Wrażenie utrwaliło się w duszy głębiej, niż w umyśle. Zbladł i zachwiał się na nogach. Zobaczył w myśli scenę, która zająć była mogła. I cierpiał prawdziwie, tak prawie, jak gdyby złodzieje byli istotnie przy nim: pojął, od czego zależnem było bożyszcze, jak wszystko jest wątem. Zimny pot oblał go od stóp do głowy. Potożył się na swoim skarbie, jak gdyby mówił do kogoś:—Zabijesz mnie, nim go dotkniesz, nim go nawet dojrzysz. Był jak westalka wobec gasnącego świętego ognia. W myśli jego zamach już nastąpił, świętokradztwo zostało dokonane.

Upamiętał się wreszcie.—To szczyry—pomyślał. Dobrze, ale drzwi źle się zamykają. Nie można powierzać złota przegniętemu drzewu. I znów zaczął

liczyć, zlekka zaniepokojony na myśl o potrzebie, która wkrótce wydała mu się koniecznością. Brakowało jednej sztuki złota, a w każdym razie tak się Ludwikowi zdawało. Może się omylił w rachunku? Może jaka moneta zsunęła się w szparę podłogi? Co bądź się stało, fakt jest oczywisty. Braknie jednej monety! Nagle cały skarb wydaje się Ludwikowi niczem, a zgubiony pieniądz wszystkim. Zdaje mu się, że oddałby chętnie resztę, byleby odnaleźć ten pieniądz utracony. Wspomnienia dziecięce przychodzą mu na myśl. Ludwik, jak w uroczystych chwilach życia, widzi oczyma myśli księdza na kazalnicy, księdza, który w dniach jego młodości komentował ewangelię o drachmie. Miał rację — pomyślał Ludwik — kobieta musiała porzucić cały skarb, aby szukać zgubionej drachmy. Ludwik rozpoczął nanowo rachunek. Teraz brakowało dwóch monet. — „Zapomniałem liczyć—zawołał—w głowie mi się mąci...” Mniej jednakże czuł się nieszczęśliwym po zgubie dwóch monet, niż jednej. — „Niemożliwym jest—myślał—aby mi coś ukradziono teraz, przed chwilą, w mojej obecności. Musiałem się pomylić. Ale potrzeba mi kasy ogniotrwałej! A koszt! Aby ustrzedz skarbu, mam-że go naruszyć?” Zawahał się wobec natychmiastowego wypadku. — „Nie — powiedział sobie — niema niebezpieczeństwa. Zapadam na umyśle, złota nie ubywa.” I, aby się uspokoić, pomyślał, że już nie umie liczyć. Winił swój umysł, aby usprawiedliwić swój skarb: ufał, że nie ubywa pieniędzy, ale mózgu. Jednakże nieokreślony niepokój, silniejszy nad wszelkie rozumowania, nurtował go skrycie. Kasa ogniotrwała dręczyła go przez dzień cały, czyli podczas snu, gdyż we dnie teraz sypiał. Wreszcie oznajmił żonie i córce, że musi przedsięwziąć podróż, nie objaśniając ani co ją sprowadza, ani jak długo potrwa. Wyszedł nocą odziany w bluzę.—Udam wieśniaka lub służącego — pomyślał. — Pójdę do Lorient, gdzie nikt mnie nie zna. Powiem, że powierzono mi

kupno kasy ogniotrwałej. Jeżeli cena okaże się zbyt wygórowana, będę się mógł cofnąć. Nie zobowiązuje się do niczego, chcę zrobić próbę.—Poczem zamknął na trzy dni w domu żonę i córkę, aby chroniły skarb, nie wiedząc, że to czynią. Zostawił im Mirro, dał im chleba. Wyczekiwały go przerażeniem zdjęte.

## V.

Poszedł piechotą. Po trzech dniach stanął w Lorient. Aby się zawczasu pocieszyć po możliwym, a nawet prawdopodobnym wydatku, który miał ponieść, powtarzał sobie w drodze:—Gdybym był postąpił jak inni, gdybym był gdzie umieścił pieniądze, na wiele wypadków mógłbym się narazić! Spekulacye mogłyby się nie udać, straciłbym więcej, niż kosztuje kasa ogniotrwała, no i nie miałbym jej także.

Niby dziecko, które samo sobie obiecuje przerażającą historję, wyliczał spekulacye, których mógł być próbować. Przypomnił sobie przyjaciela, którego zrujnowała gra na giełdzie. To samo nieszczeście spotkać mogło przecież i jego; wyobraził sobie niemal, że go już spotkało. Opowiedział sobie historję własnej ruiny, zachowując pozory doskonałego prawdopodobieństwa, ubarwiając całość niezwykle szczegółami. Pograżył się rozmyślnie w strasznym śnie, napawając się przewidzianą chwilą przebudzenia. Budząc się, zauważył:—„Tracę tylko cenę kasy, a zabezpieczam cały skarb na całą wieczność. Nie, nie, nie grałem na giełdzie; nie, nie, nigdy grać nie będę. Nie, ja jestem ostrożny, unicestwię raz na zawsze ponawiające się wciąż powody niepokoju, który mi podkopuje zdrowie.” Myśli te pokrzepiły go na duchu, gdy przybył do Lorient. Wobec kupca przybrał twarz obojętną, aby nie budzić żadnych podejrzeń.

— Proszę mi pokazać — zażądał — kilka kas ogniotrwałych.

Pokazano mu kilka mniej lub więcej mocnych. Najmocniejsze były naturalnie najdroższymi. W duszy Ludwika zrodziła się walka, którą z góry przewidział. Dotychczas poświęcał wszystko złotu, obecnie po raz pierwszy należało poświęcić — złoto złotu. Wszystko w życiu, wszystkie namiętności złożył na ołtarzu skąpstwa, ale oto dziś skąpstwo stawiało do walki przeciw samemu sobie. Co począć? Kasa tańsza będzie jednocześnie mniej trwała. Więc wziąć kasę droższą, ale mocniejszą?

Dać mniej złota, lecz nie zapewnić skarbowi całkowitego bezpieczeństwa? Dać dziś więcej złota, lecz zyskać większy spokój o skarb cały?

Rozdarcie serca mniejsze, ale — wieczysty niepokój, może żal straszliwy. Silniejsze rozdarcie serca, lecz wynikający ztąd spokój — wspaniały, czarodziejski.

Sprzeczne z sobą obrazy krążyły przed jego wzrokiem, a umysł skłaniał się do decyzji wręcz sobie przeciwnych. Raz widział siebie w chwili, gdy płaci i daje swe złoto. Najtańsza z kas wydawała mu się wtedy jeszcze zbyt drogą; nie chciał już nie kupować. Drzewo wystarczy. Uwielbiał drzewo. Nie nawidził swej podróży.

To znów wyobrażał sobie złodzieja i jego zwyciężkie włamanie się do skarbów. Wtedy oko Ludwika nabiegło krwią i spoczywało z lubością na kasie najbardziej niedostępnej. Obraz ten przeważał i skłonił go do ostatecznej decyzji. Lecz gdy chciał przemówić, bicie serca zatamowało mu oddech w piersi. Zatrzymywał się przy każdej sylabie, a obawiając się, aby go nie zdradziło bełkotanie i nie dowiodło, że jest bogaczem, kupującym na własny rachunek, udał, że źle mówi po francusku. Wtedy kupiec, aby mu ułatwić porozumienie, zaczął mówić po bretońsku. Pomieszanie Ludwika, nie rozumiejącego, wzrosło

jeszcze bardziej. Błąd jak śmierć, wskazał palcem na kasę najmocniejszą. Może nawet nadmiar pomieszanania dodał mu siły do zrobienia wyboru. Zatraciwszy prawie całkowicie świadomość, nie mógł objąć umysłem ogromu poświęcenia. Bywają takie łaski stanu. Miał wzrok zamroczony i dzięki temu znalazł w sobie siłę do zapłacenja. Cierpienie fizyczne, jakiego doznawał, pozbywając się złota, przyszło na pomoc znękanej duszy. Krew wzburzyła się w nim tak, gdy ręce wypuściły złoto, że chmura zamgłiła mu oczy. Działał w pół-omdleniu. Ból fizyczny, zagłuszając ból moralny, podziałał nań podczas tego kupna, jak chloroform podczas operacji.

Kasę nie łatwo było otworzyć, klucz nie wystarczał. Trzeba było pisać wyrazy za pomocą liter ruchomych, obracających się na krążkach metalicznych i walcach, które poruszały się naokół zamka. Takie zbyt kosztowne środki zapobiegawcze nadają kasom charakter magiczny, przypominając sławne: Sezamie, otwórz się! Sam klucz na nie nie służył. Ten jedynie, kto znał magiczny wyraz i umiał go złożyć na krążkach, mógł otworzyć kasę.

Ludwik zbłądził kilkakrotnie, gdy mu udzielano objaśnień. Kupiec pomyślał sobie w duszy:

— Jegomość mi coś wygląda na zbiegłego galelnika. Ale cóż mnie to obchodzi? Zapłacił, niech go tam inni chwytają.

Aby wykonać powrotną drogę, Ludwik kupił beczkę, włożył w nią kasę i, przebrany za woźnicę, prowadził wózek ze skarbami.

— Obecnie — zauważył — jestem już przynajmniej spokojny. Nie mam się czego obawiać. Jestem pewny swej przyszłości.

Tak mówią ludzie, którzy podpisali wyrok śmierci na samych siebie.

Droga od Lorient do Hennebout pełną jest pagórków. Wzrok Ludwika, utkwiony w dalekie horyzonty wzgórz, upewniał się co chwila, patrząc przed

siebie i za siebie, czy nie kryje się gdzie jaki nieprzyjaciel.

Gdy na jednym pagórku zeszedł z wózka, aby ulżyć koniom, zobaczył podróżnika, idącego pieszo tą samą drogą. Podróżnik, którego duszę przenikał zachwyty wobec łańcuchów gór i pięknych horyzontów, był biednym młodzieńcem. Widząc nieszczerliwego poganiacza, którego postać i ubranie zdradzały niewystawioną nędzę, pomylił się co do natury tej nędzy i myśląc, że spotyka człowieka, który nie jadł od dni kilku, zbliżył się doń delikatnie i, czerwieniąc się niemal, wsunął mu w rękę pięciofrankówkę.

Ludwik zrobił ruch, w którym rodzaje się zdumienie skonało, nim się zrodziło, a skonało z radości. Przyjął datek, opuszczając głowę.

— Nie myliłem się — powiedział sobie młodzieńiec, który niegdyś oświadczał się o Annę, a który teraz nie poznał jej ojca.

Jakże się w nędzy dzieje! Powiecie mi, że rodzina nie umierała z głodu, więc pieniądze wychodziły czasem z domu. Nie! folwarczek, będący osobistą i nienaruszalną własnością Anny, dostarczał w naturze niezbędnych produktów. Spożywano ilość najściślej konieczną, resztę Ludwik sprzedawał. Przedmiot, zamieniony na pieniądze, stawał się unieruchomionym. Zachodziło tu zjawisko, wręcz przeciwne naturalnemu biegowi rzeczy. Zwykle pieniądz, czyli gatunek, przetwarza się w substancję. Pięciofrankówka stać się może kurą lub książką, żywym ciałem lub umysłem, tworzyć krew lub idee. W domu Ludwika działało się odwrotnie. Rzeczy przyrodzone zamieniały się w pieniądze nie po to, aby znów przetworzyć się w przedmioty i służyć na coś w grze życiowej, lecz aby pozostać na zawsze metalem. Przedmiot wychodził z obiegu, pozbywał się swej postaci przemijającej i wchodził w nieśmiertelność.

Chwila wniesienia beczki do piwnicy była dla

Ludwika chwilą uroczystą. Nikt niczego nie podejrzewał, podróż odbyła się względnie spokojnie. Ludwik odłożył na dzień następny naładowanie kasy pieniędzmi. Przy pierwszej wizycie, jaką złożył swemu skarbowi, obliczał z pewną obawą. Nie brakowało już monety, której brakło poprzednio. Okoliczność ta przeraziła go. Więc złodziej przyszedł i wziął najpierw, aby potem oddać. A może żona i córka domyśliły się? Może pod wpływem nędzy uległy pokusie złota i wzięły, a potem, przejęte skruchą lub strachem, oddały pieniądze?

— Jakkolwiea rzeczy się mają — zawołał Ludwik — skończy się przerażenie. Teraz już nie mam się czego obawiać na przyszłość!

Gdy człowiek mówi: „teraz już nie mam się czego obawiać” — zbliża się zwykle jego ostatnia godzina. Utrzymywać, że coś jest skończonym, znaczy rzucać rękawicę potężnej rzeczy, którą drażni niezachwiana pewność i która podejmuje się dowieść, że udziałem naszym są rzeczy przejściowe.

## VI.

Gdy następnego dnia Ludwik umieścił swój skarb w kasie, poczuł, że wzrasta w nim szacunek i uwielbienie dla swege bóstwa. Umieszczone w kasie złoto wydało mu się jeszcze cenniejszem. Bóstwo spotężniało, gdy się wzmogło bezpieczeństwo. Ulokowawszy pieniądze, Ludwik utkwiał w kasie wzrok pałący i nieruchomy. Złoto było dlań wszystkim, a kasa przedstawiała złoto. Ręka Ludwika zadrżała, gdy zamykał po raz pierwszy drzwi świętego przybytku. Ach, ten klucz! Gdzie go schować, aby mieć pewność, że nie zaginie? Gdybyż go mógł złożyć w głębiach swej istoty, na dniu własnego serca!... Ale nie na tem rzecz się kończyła. Trzeba było znaleźć wyraz, napisać go na tajemniczych krąkach.

Wyraz taki równie był potrzebny do otworzenia kasy, jak klucz. Jaki wyraz obrąć? Wyraz ten stanie się świętym, utożsamia się ze złotem. Wyraz stanie się dla kasy tem, czem kasa jest dla złota, czem złoto jest wobec natury. Wyraz stanie się aniołem stróżem złota. Więcej niż aniołem, gdyż bez wyrazu wszystko byłoby niczem. Wyraz stanie się bogiem.

Były cztery krawki, potrzeba więc było czterech liter.

— Oto nadszedł wielki dzień — zawołał Ludwik i zdecydował wewnątrz, że ostatni wyraz, jaki wymówi wobec bóstwa, będzie miał cztery litery, że ten wyraz będzie tego dnia użytym i że codziennie zmieniać będzie wyrazy.

— Oto nadszedł wielki dzień — powtórzył jeszcze raz i napisał na metalowych krawkach: *Jour* (dzień).

Drżał do dnia następnego, jakby obawiał się, że nie będzie umiał otworzyć kasy. Drżał, nie wiedząc dlaczego. Dotykał klucza kilka razy na minutę. Następnego dnia zeszedł do piwnicy wcześniej niż zwykle. Spróbował otworzyć, wszystko szło dobrze. Dnia tego, nim skarb opuścił, objął złoto okiem pożądania.

— Zdawałoby się, że go pragnę...—pomyślał.— Można więc pragnąć tego, co się posiada? Wszystko to jest moje! *Aurum meum*. — I wybrał słowo *meum*. Łacina była mu miłą, wprowadzając większą tajemnicę. Innego dnia napisał: *amor*, następnego: *meus*. Potem znów napisał: *Dieu* (Bóg). Od praktyki przeszedł do teorii, podniósł złoto do godności boskiej. Następnego dnia w godzinie wizyty, która stawała się coraz wcześniejszą i dłuższą, Ludwik zeszedł jak zwykle do swej kryjówki i tam, w chwili, gdy miał otworzyć kasę, zatrzymał się osłupiały. Zimny pot go oblewa, zamykają mu się oczy. Szepeze zeicha:

— Nie, nie, nie, myślę się, myślę się! To nieprawda, to sen tylko!

I usiadł, mówiąc:

— To sen! To sen! Takie rzeczy nie zdarzają się! To sen!

Siedział, ukrywając głowę w dłoniach, nie mogąc nawet krzyknąć. Bezsilność utwierdziła go w przekonaniu, że to był sen tylko.

— We śnie — mówił sobie — ludzie chcą krzyknąć i nie mogą, a w chwilę później budzą się.

Próbował odwrócić się szybko, aby się obudzić. Jakoż obrócił się, ale z rozpaczą stwierdził, że sen trwa dalej.

Oblewał się coraz chłodniejszym potem. Nie śmiał mówić do siebie; zamykał oczy na samego siebie. Chciał powstrzymać oddech i powtarzał machinalnie:

— Nie, nie, nie, to niemożliwe. Nieprawdaż, że to niemożliwe?

Zdawało się, iż dopytuje się kogoś nieobecnego i że każe sobie dawać uspokajające odpowiedzi, które go przecież nie uspokajają. I gdy tak bronił wobec siebie samego hipotezy snu i przegrywał sprawę, wyglądał straszliwie. Prawda objawiała mu się do wodnie:

*Zapomniał wyrazu!*

Kasa nie otwierała się, nie mogła się już otworzyć.

*Zapomniał wyrazu!*

Nadzieja, że to sen tylko, uciekała coraz szybciej. *Zapomniał wyrazu!*

Co robić? Spytał się o wyraz? Kogo? Nikt nie wiedział przecież. Był sobie samemu jedynym powiernikiem i zapomniał wyrazu!...

Nie tylko zapomniał wyrazu, lecz zapomniał go głęboko. Są stopnie w zapomnieniu. Wyraz, który od nas ucieka, pozwala mierzyć przestrzeń, jaką przebiegł, uciekając. Można sobie powiedzieć:—Mam go! Czuję go na końcu języka! Albo też:—Nie, nie wiem, w jakim kierunku uleciał! W danym wypadku zaszło

to ostatnie. Wyraz nie krążył wokół głowy Ludwika. Zrozumiał, że odbiegł daleko, bardzo daleko. Z intuicyą, jaka się rodzi przy nadzwyczajnych uczuciach, powiedział sobie:

— Nie, wszystko już skończono! Nie przypominam i nie przypomnę sobie!

A raczej nie powiedział tego zdania, gdyż są zdania, których się nie mówi. Zdanie wypowiedziało się samo, w głębi jego istoty, on zaś, z głową ukrytą w dłoniach, wzywał obłędu, lecz obłęd nie przychodził. Kogo prosił o zesłanie obłędu? Nie wiedział także.

Nigdy nie wierzył w Boga i nie modlił się nawet w tej chwili, gdyż modlitwa zawiera chociaż cień nadziei. To, co zrobił, podobnym było do modlitwy, jak kamień, ociosany w formie ludzkiego serca — przypomina serce ludzkie. Nie płakał. Chciał utracić świadomość istnienia i już szła rozpacz złał się ze stanem nieświadomości, w którym pograżył się przez chwilę. Ale wstrząsnęło nim dokładne przypomnienie własnej istności. Wydał okrzyk, wyrwał garść włosów, bił głową o kasę i napawał się przez chwilę bólem fizycznym, który dawał mu wrażenie odmienne od jednostajnej i przynębiającej rozpacz. Lecz ból fizyczny minął i znów pochłonał go ocean cierpienia, ocean bezbrzeżny, na którym nie grały żadne światła, ocean bez chmur, bez fali, równy i gładki.

Po chwili Ludwik wyszedł z piwnicy, aby się ukryć. Domyślał się potrosze, że twarz musi mieć straszna. W stanie gwałtownego podniecenia, blizkiego waryacyi, wraca myślom dziwna przejrzystość. Instynkt radził mu ukrycie. Lecz nie na zawsze. Noc spędził w piwnicy. O godzinie śniadaniowej zjawił się, w obawie, aby się nie zdradzić, łamiąc zwykłe przyzwyczajenia.

Anna, która zobaczyła go pierwsza, wydała okrzyk. Włosy ojca, czarne dnia poprzedniego, stały

się dziś białymi. Poszła uprzedzić matkę. Śniadanie było okropnem. Zasiadli do stołu, lecz nikt nie jadł. Ludwik rozważał każde słowo, wychodzące z ust kobiet: może wymówią wyraz zapomniany. W oczekiwaniu tem rozmowa nabierała dla niego olbrzymiego znaczenia.

Lecz wszyscy milczeli. Każde usta, otwierające się, mogły wymówić ów wyraz. Wobec tego wszelki ruch języka i warg stawał się dla Ludwika czemś jak nadzieja świętem.

— Przypomnę sobie — myślał — gdy go ktoś wymówi. Zdaje mi się, że był to wyraz bardzo często wymawiany.

Gdy Amelia weszła do pokoju jadalnego, patrząc na siwe włosy, szepnęła:

— O, mój Boże!.. (*O, mon Dieu!*)

Ludwik, który nie tracił ani jednej sylaby, zadrżał, gdy wyraz „*Dieu*” został wymówiony, ale go nie poznał.

Wtedy wziął do ręki książkę i powiedział sobie:

— Tu go odnajdę!..

Czytał i czytał i nie napotykał wyrazu, a jeśli go napotkał — znów go nie poznawał. Pierwsza książka, która mu wpadła w rękę, była dziełem o astronomii.

— Nie — pomyślał — tu niema co szukać!

Niejasne przeczucie ciągnęło go do książki od nabożeństwa, więc zażądał jej od żony.

— Czyżby się nawrócił? — rzekła matka, drżąc ze zdumienia.

— Nie — odpowiedziała Anna — bo twarz ma wciąż posepną.

Czytał i nie znalazł. Zabrał się wtedy do słownika. Czytał i nie znalazł. Strona, na której mieścił się wyraz *Bóg*, była zlepiona. Ludwik nie zauważył tego. Doszedł do litery *I* i wydał okrzyk, czytając wyraz „*Idole*.” To, co działo się w jego mó-

zgu, usuwa się z pod analizy. Sądził, że odnalazł wyraz, a czuł, że się myli. *Moralnie* był to ten sam wyraz, *materyalnie* — był inny. Zaczął wertować słownik synonimów, zamiast jednak go oświecić, ironia języka wprowadzała go w błędy jeszcze większe! Zdało mu się, że ta ironia naigrawa się nad jego rozpaczą, że język chowa przed nim skarb, pokazując mu tylko wyrazy pokrewne. Jak się to zdarza dzieciom, bawiącym się w ślepą babkę, język mówił mu chwilami: gorąco! gorąco! lecz gdy wyraz już był widoczny, zachwiał się i zniknął w nieubłaganej nocy wiecznego zapomnienia.

— Zastanówmy się nieco — zauważył — w jakim nastroju byłem, gdy wybierałem ten wyraz. Użyłem najpierw „amor”, potem „meus.” Myślałem więc o tem, co się kocha, co można kochać, co jest miłym, co jest godnym uwielbienia. Pomyślmy, co można wielbić?

Przy ostatnim wyrazie myśl Ludwika, która starała się odzyskać spokój, aby stać się jasną, umknęła i skonana w bolesnym krzyku.

— Ach, *mon Dieu!* — wołał, rwąc sobie włosy i tarzając się po ziemi.—Ach, *mon Dieu, mon Dieu!*

*Wymawiał więc wyraz.*

*I nie poznawał go!*

Nie poznawał go, gdyż nie był to wyraz, lecz okrzyk. Nie wiedział, że ten okrzyk był wyrazem. Ludwik symbolizował tłumy bałwochwalców, którzy wymawiają imię Boga w toku zdań banalnych lub w konwulsjach rozpaczy; tarzał się po ziemi i wołał:

— Ach, mój Boże, mój Boże!

A imię boskie, które nic nie znaczyło w jego umyśle, przestało mieć znaczenie nawet dla jego ucha, przestało być dźwiękiem.

I tarzał się po ziemi, z oczami wybiegłymi z orbit, jęcząc:

— *Mon Dieu! mon Dieu!*

Szukał w umyśle, szukał rozpaczliwie wyrazu, który miał na wargach, a wyraz uciekał w nieskończoność, gdyż był pustym.

## VII.

Pamięć jest wszechświatem, gdzie wyrazy krążą i zachowują swe miejsca, dzięki treści, która stanowi ich ciężenie. Wyraz, nie mający znaczenia, spływa jak woda.

— Jutro — postanowił Ludwik — odnajdę fatalny wyraz, lub życie przestanę.

Nie miał wyraźnego projektu samobójstwa. Ale gwałtowne wzburzenia duszy odkrywają rzeczy ukryte; podnoszą niekiedy zasłonę, po za którą spoczywa tajemnica. W gęstych ciemniach migają błyskawice. Ludwik w blasku błyskawicy dojrzał, że zbliża się chwila ostateczna.

W tym samym czasie Anna, zamknięta w swym pokoju, poczuła nieznanne zmęczenie. Była to jedna z chwil, w której życie wydaje się zbyt ciężkiem do zniesienia. Głębokie rozdrażnienie zawładnęło dziewczyną.

— Wszystko skończone — rzekła — nie mogę już! o Boże mój, nie mogę żyć dłużej!

I ojciec więc i córka tegoż dnia i o tejsze godzinie mówili *mon Dieu*, mówili jednocześnie, lecz nie jednakowo. I dla ojca i dla córki był to nie wyraz, lecz okrzyk. Dla ojca przecież był to krzyk pusty, dobywający się ze zmartwiałego serca; dla córki — krzyk żywy, płynący z serca żywego. Dla ojca stanowiło to mniej niż wyraz; dla córki zaś było więcej niż wyrazem, niż myślą, niż uczuciem, bo okrzykiem rozdartej duszy.

Ludwik chodził bez celu, powtarzając:

— Jutro, jutro!

Wyraz ten nękał go nieustannie.

Oto treść życia tego człowieka:

Złoto, wartość zamienna rzeczy, złoto, które bez tych rzeczy jest niczem, pochłonęło rzeczy i kazało się wielbić dla siebie samego, niezależnie od rzeczy. Potem utożsamiało się z kasą ogniotrwałą. Potem wyraz, zamykający kasę, bez którego kasa była niczem, wyraz przedstawiający wartość złota, pochłonął złoto. Gatunek pochłaniał substancję. Teraz gatunek gatunku pochłoniął gatunek. Bóg został pochłoniętym w duszy Ludwika przez stworzone przezeń substancje, substancje przez gatunki, gatunki przez wyraz, który je przedstawiał, a tym wyrazem był wyraz: Bóg (*Dieu*).

Bóg był punktem wyjścia i kresem ostatecznym. Ludwik, który opuścił był Boga, szukał imienia boskiego i nie znajdował go.

*Imię Boskie pomściło Boga!*

Wieczorem Amelia i Anna zdrzały nieznanym dreszczem. W chwili, gdy Ludwik wchodził na schody, Mirro przesunął się koło niego z podniesionym ogonem i rzucił się do nóg swych pań, spragniony ich pieszczoł. Pies, widząc skąpca, zawarczał i pobiegł ku kobietom, jak gdyby chcąc je pocieszyć. Ludwik utkwiał w nim spojrzenie, po którym obiedwie kobiety zdrzały.

Następnego ranka Ludwik wyszedł jak zwykle i jak zwykle powrócił z kupcem. Kupiec trzymał bicz w ręku. Podczas takich okropnych wizyt kobiety powtarzały codziennie z przerażeniem:

— Jaką częśćkę nas samych wydrze nam dzisiaj? Jaką ucieczkę ostateczną, jaką ostatnią pociechę mamy utracić? Jaki szmat życia dziś się od nas oderwie? Jaka ofiara spłonie na ołtarzu demona?

Dziś trwoga ich była żywszą, niż zwykle. Zanosilo się na burzę. Coś niezwykłego ciążyło w powietrzu.

Ludwik przybył z człowiekiem, którego żona i córka zwały katem. Obiedwie kobiety, nie zastanawiając się, co robią, uciekły. Ludwik zawołał:

— Anno! Anno!

Gniew go porwał.

Anna powróciła.

— Gdzie jest Mirro?— spytał Ludwik.

Nie było odpowiedzi.

— Czy nie słyszysz? Gdzie jest Mirro?

Anna, nie nie odpowiadając, rzuciła się z płaczem na szyję matki. Już poprzedniego dnia przewidziały kobiety wszystko, ale nie śmiały jeszcze głośno o tem mówić. Nie miały odwagi powiedzieć: „Mirro będzie sprzedany, Mirro, wierny, jedyny przyjacieli!” Mirro, który czasem sprowadzał uśmiech w domu rozpaczy. Nie bacząc już nawet, że są nie same, niepomme swej zwykłej rezygnacyi, obiedwie kobiety rzuciły się w obecności obcego człowieka do nóg Ludwika. Mirro, jak gdyby zrozumiał, schronił się do kuchni. Ludwik szorstkim gestem odepchnął kobiety, które płakały, osunawszy się na ziemię i zawołał:

— Mirro!

Pies zawarczał, ale nie przyszedł.

— A, nie chcesz, podłe zwierzę? Potrafię cię znaleźć.

I, biorąc bat z ręki kupca, skierował się do kuchni, żąd dochodziło warczenie.

— Mirro, tu!

Mirro zawarczał potężnie.

— Anno—rozkazał Ludwik—zawołaj Mirro.

Anna płakała tak, że mówić już nie mogła. Serce jej się rozdzierało na myśl, że miała zawołać psa, aby go zdradzić i sprzedać. Łkała boleśnie.

— Czy słyszałaś?— spytał Ludwik.

— Mirro! — zawołała Anna zdławionym głosem.

Mirro przybiegł zaniepokojony, polizał ręce swej pani i ta jego biedna mowa była jak łkanie.

— Mirro — rzekła Anna — trzeba się nam rozstać...

Mirro zaskowyczał.

Ludwik zabierał się do psa, aby go oddać kupcowi. Zwierzę legło na ziemi i uczepiło się u podłogi. Ludwik patrzył zmieszany na kupca. Mimowolny ruch kupca wywołał brzęk pieniędzy w jego kieszeni. Oczy Ludwika zaiskrzyły się, chwila pół-rozczulenia, którego doznał, patrząc na leżącego psa, minęła natychmiast. Wziął go za szyję, aby go podnieść, ale zwierzę stało się ciężkiem. Nie dało się pociągnąć...

— Mamo — rzekła Anna — pożegnaj Mirro i chodźmy ztąd. Nie chcę, abyś była świadkiem ostatnich chwil.

Amelia, tłumiąc łkanie, opierała się na ramieniu córki. Zbliżyła się do psa, pogłodziła go i rzekła:

— Żegnaj mi, Mirro, byłeś nam wiernym w złych dniach życia. Ty jeden nas kochałeś. Ty jeden nas pieściłeś. Wiesz, że rozstaje się z tobą wbrew mej woli. Czy będziesz tam szczęśliwy? Czy choć będziesz miał co jeść? Czy będziesz o nas pamiętał?

— Panie — zwróciła się, poskramiając wstręt, do kupca i nie patrząc na niego — bądź dobrym dla Mirro!

Trzymała w rękach głowę psa, pieszcząc go dalej.

— Chodź, mamo — zawołała Anna — wyjdźmy.

Pociągnęła matkę, która szła powolna i napół przytomna. Gdy przestąpiły próg, pies rzucił się za nimi. Ludwik zamknął drzwi gwałtownie.

Skąpiec, handlarz i pies zostali sami. Pies, który był czułym i pieśczeniowym wobec kobiet, innym się stał wobec mężczyzn. Łagodność opuściła go szybko, zmierzył dwie postacie wzrokiem pełnym gniewu.

Trzeba go jednak było uchwycić, uwiązać i upro-

wadzić. Obydwaj mężczyźni wahali się przystąpić. Mirro uważał Annę i Amelię za swe panie, lecz nie uznawał Ludwika za pana. Skąpiec był dlań tylko wrogiem.

Nabywca zbliżył się raz: pies warknął.

Nabywca zbliżył się po raz drugi: pies ukaźał kły.

Nabywca zbliżył się jeszcze raz: Mirro stał się tak straszliwym, że się cofnął.

— Nigdy nie widziałem nic podobnego — zawołał — przyjdę jutro.

Wyszedł z pośpiechem człowieka, który się boi i który już nie powróci.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, stała się rzecz okropna. Ludwik zamierzył się na psa batem, aby go skarcić. Pies rzucił mu się do gardła. Ludwik wydał straszliwy okrzyk — pies nie puszczał. Jego żółte, a tak pieśczeniowe ślepie, nabrały straszego wyrazu. Gryzł i dusił. Z okiem rozognionem, z najeżonym włosem wpił się jak kleszczami i dławił. Zda się, że człowiek i zwierzę złączyli się w jedno. Szeroko rozwarte oczy Ludwika nie mrużyły się już. Z szarpanego gardła wydobywały się dziwne, coraz słabsze dźwięki. Wysiłki Ludwika wznagły wściekłość psa. Chrapanie człowieka słabło, ale pies go nie puszczał. Nieszczęsny wił się w ostatnich konwulsjach, a pies nie puszczał. Ścisnięte gardło chciało wydać okrzyk: — *Ah, mon Dieu!*

I włosy stanęły Ludwikowi na głowie. *Dieu* — Bóg! Oto wyraz zapomniany! Poznał go! Jest wyraz! Wyraz! Wyraz! Było już za późno! Wyraz, którego szukał z szalem żrącej rozpacz, z całą wytrwałością niezmierną, niemej i ponurej rozpacz, wyraz, którego szukał w rozmowie, w książkach i słownikach, wyraz, którego szukał na wargach każdego człowieka, oto jest ten wyraz! jest ten wyraz! Mirro nie puszczał.

I teraz Ludwik poznał wyraz, gdyż ten wyraz

nabrał dlań znaczenia. Zbliżenie się śmierci nadało mu dźwięk i znaczenie, rzuciło nań światło. Ludwik przypominał sobie, że go wymawiał w rozpaczy i nie poznawał. A był to przecież ten wyraz! Poznał go teraz, ale Mirro nie puszczał...

Przez ten czas matka z córką przebiegały ulicę, nie mówiąc nic, kryjąc łzy pod welonem. Są w życiu okoliczności, w których pies przybiera rozmiary olbrzymie. Ostatni przyjaciel, człowiek, czy zwierzę, staje się odrębną od wszystkich istotą. Po dwóch godzinach chodzenia, wyczerpane, znalazły się przed drzwiami swego domu i zawahały się, zanim weszły. Ujrzeć dom bez Mirra, dom, w którym Mirro życie im osładzał, wołać na psa bez skutku, wstać zrana, kłaść się spać wieczorem, nie widzieć nikogo, znać tylko smutek i nie mieć już nawet Mirra, Mirra!

Weszły wreszcie.

Mirro poskoczył ku nim łagodny, uległy, pełen czułości, łasił się, lizał je, całował, jakby mówiąc: Teraz jesteśmy wolni, bądźcie szczęśliwi!

A w drugim końcu pokoju leżał trup skureczony, z zakrwawionemi oczyma, wyszłemi prawie z orbit, z rękami i nogami jakby drgającymi konwulsyjnie nawet po śmierci, z ustami zaciętymi, z czołem posiniałym, na którym zamarł wyraz surowości. Zdawał się przeklinać. Trup wyglądał na dawnego już trupa, a zgnilizna, podobna do skąpca, któremu wracają jego pieniądze, zdawała się mówić: — Śpieszno mi do twego uścisku! Dawno już czekam na ciebie!

OKTAWIUSZ MIRBEAU.

WARYAT.

### Podwórze w domu obłąkanych.

Kilku waryatów smutnych i błędnych przechadza się pod drzewami; kilku — upoczywie nieruchomych, siedzi na ławkach. Wzdłuż murów i w wągłach wylegają się inni. Jedni jęczą, drudzy śmieją się potępieńczo, jeszcze inni milczą, znieczuleni, jak głązy, od trupów martwiejsi.

Podwórze zamyka czworobok wysokich, czarnych budynków, których okna, zdaje się, również patrzają oczami waryatów. Znikąd nie dojrzysz odrobiny wolności, ani żdźbła wesela; ciągle i zawsze — pusty, smutny skrawek nieba... Słychać głuchy lament stłumionych krzyków, zduszone wycie, płynące z utajonych przybytków tortury, z niewidzialnych grobów, z zapadłych krain. Starzec jakiś podskakuje z trudem na wychudzonych i drżących nogach; ciało ma skurczone — łokcie, jakby w biodra wrośnięte. Tam znów pędzi kilkunastu, dążąc do nieznanych celów, a tam dalej toczą się kłótlive gawędy..

Wehodzi w podwórze gość w towarzystwie dyrektora. Waryaci kręcą się niespokojnie, szepcą, rozprawiają, rzucając ku przybytemu spojrzenia ponure i nieufne. Widać w powietrzu gwałtowne, dziwaczne ruchy, widać blade ręce, wznoszące się w górę, niby ptaki spłoszone. Chmurni dozorecy krążą pomiędzy gromadkami i przywołują do porządku.

Zawiazują się rozmowy:

— Czy to prefekt?

- Idź ty.
- Nie. Idź ty.
- Kiedy nie rozumie, jak do niego mówię.
- A mnie nigdy nie słucha.
- Trzeba przecież żądać, żeby nie dawano ro-  
puch w zupie.
- Trzeba prosić, żeby czasem na wieś wy-  
wieźli.
- Idź i mów otwarcie, jak do człowieka;
- Nie, ty pójdziesz!
- A no, więc idę.

Kilku waryatów wysuwa się z gromady, zbliżyli się do dyrektora i wyluszczają słuszne, lubo mętne, skargi na złe pożywienie, na dozorców, na niesprawiedliwość losu. Palą im się twarze, wyciągają szyje. W biednych, błędnych, dziecinnych źrenicach tleją iskry przelotnej nadziei. I tylko starzec, obojętny na wszystko, podskakuje dalej na zesłabłych nogach, a młodzieniec jakiś, z wyrazem ekstazy w oczach, z ramionami, wyciągniętymi naprzód, otwiera wciąż i zamyka swe kościste ręce, chwytając próżnię. Dyrektor na wszystkie skargi odpowiada zawsze jedno: „Bardzo dobrze! Bardzo dobrze!”

**Dyrektor.**

*(Do gości):*

— To dobre chłopaki... tylko trochę narwane. Nie bój się pan.

**Gość.**

— Wyglądają na waryatów nie więcej, niż wszyscy ludzie. Miałem o nich całkiem inne wyobrażenie. Przypominają izbę deputowanych, tylko z większą dozą malowniczości.

**Dyrektor.**

— I wesołości... Zobaczysz pan, to bardzo zabawne... Czasem nie wiadomo, gdzie ci biedacy mózg

podzieli. *(Zatrzymuje przechodzącego waryata).* — Dlaczego nie żądasz dziś niczego?

**Waryat.**

*(Chudy, błydy, bardzo smutny):*

— I na cóż to się zda?

**Dyrektor.**

— Gniewasz się, kaprysisz?

**Waryat.**

— Nie gniewam się... Jestem smutny.

**Dyrektor.**

— Nie trzeba być smutnym. To bardzo w twoim stanie szkodliwe. Powiedz nam, jak się nazywasz?

**Waryat.**

— Co takiego?

**Dyrektor.**

— Nazwisko twoje! Powiedz nam swoje nazwisko.

**Waryat.**

— To nieuczciwie tak sztydzić z biednego człowieka. Przecież pan wiesz lepiej, niż ktokolwiek, że nie mam już nazwiska. Czy mogę żądać sprawiedliwości od tego pana? Pan może jest prefektem?... *(Dyrektor kiwa głową).* A, to bardzo się cieszę. Niechże panu prefektowi opowiem od początku. Miałem nazwisko, jak wszyscy ludzie. Miałem przecież pra-

wo, czy nie? Sam pan przyzna, że nie było w tem nic nadzwyczajnego?... Gdy się tu dostałem, pan dyrektor zabrał mi nazwisko. (*Dyrektor zaprzecza giestem*). Przepraszam, przepraszam, wiem dobrze, co mówię. A gdzie pan dyrektor podział moje nazwisko? Nie wiem... Czy je zgubił?... Bardzo możliwe! Dopominałem się po tysiąc razy. Boć, w rezultacie, ja potrzebuję nazwiska... Nigdy nie chciałem oddać... Może nie prawda?... To okropne. Nie wiem, do jakiego stopnia pan dyrektor miał prawo zabierać mi nazwisko? Jest w tem czyste nadużycie władzy... Pan przecież rozumie, panie prefekcie, jak mnie to fatalnie krępuje. Sam już nie wiem, kim jestem. Nietylko dla innych, ale dla samego siebie stałem się obcym... Ja poprostu nie istnieję. Wyobraź pan sobie, Juliusz Lemaitre chce już oddawna napisać moją sylwetkę. Ale jakże się do niej zabrać? Czyją sylwetkę?... Czyją? Przecież ja nie mam nazwiska. Jestem sławny, bardzo sławny, zna mnie cała Europa. Lecz na cóż mi się zda sława, kiedy dziś jest bezimienną... Koniec końców, ja przecież odbiorę własne nazwisko.

Gość.

— Zapewne... Niezawodnie... Pomyślimy o tem.

Waryat.

— Dziękuję. Kiedy pan prefekt taki dla mnie dobry, to czy mogę przedstawić jeszcze jedną prośbę?... Bo zdarzyły mi się rzeczy tak nadzwyczajne, że sam bym nie wierzył, gdybym się nie stał ofiarą...

Gość.

— Mów, mój drogi.

Waryat.

— Byłem poetą, panie prefekcie, i miałem krawca, któremu winien byłem pieniądze. Potrzebne

mi było wytworne ubranie, gdyż bywałem u markizy d'Espard, u pani de Bouscaut i miałem się żenić z panną Klotyldą de Grandlieu. Znajdziesz pan całą moją historję w Balzaku. Widzisz pan, że nie kłamie. Ten nieznośny krawiec dręczył mnie nieustannie. Upominał się gwałtownie o dług, ale nie mogłem oddać. Pewnego dnia, kiedy stał się natarczywszym, niż zwykle, zaproponowałem, żeby sobie wybrał coś z moich mebli, naprzykład zegar... albo jakie pamiątki rodzinne, zresztą wszystko, co zechce. I wiesz pan, co zabrał? To nie do uwierzenia!... Wziął mi moją myśl, tak jak później pan dyrektor odebrał mi nazwisko. Mam szczęście, co? Bo i cóż ten krawiec może robić z moją myślą?

Gość.

— Ale jakże spostrzegłeś, że ten krawiec zabrał ci myśl?

Waryat.

— W jaki sposób? Toż widziałem ją w jego rękach, panie prefekcie. Trzymał ją w rękach, kiedy mi zabrał.

Gość.

— I jakże wyglądała?

Waryat.

— Była jak motylek, panie prefekcie, żółty, ładniutki, delikatny, trzepoczący skrzydełkami, motylek, podobny do tych, co siadają w ogrodach na różach, w dnie słoneczne... Błagałem okrutnika, żeby mi oddał moją myśl. Takie miał grube, niezdarne palce, bałem się, żeby jej nie zranił. Była lekka, bo była wątła... Włożył ją do kieszeni i uciekł i... drwi sobie ze mnie!

Gość.

— Rzeczywiście, niezwykły wypadek!

Waryat.

— Nieprawdaż?... Najpierw napisałem do niego list, błagając, żeby mi oddał myśl moją, żywą, czy umarłą... Nie odpowiedział ani słowa... Poszedłem do komisarza, ale ten wyrzucił mnie brutalnie za drzwi i wziął mnie za waryata... Wreszcie pewnego wieczora naszli mnie ludzie o podejrzanych minach i zaciągnęli mnie tutaj. I jestem tu od dziesięciu lat... i żyję, panie prefekcie, w otoczeniu ludzi grubijańskich i chorych, którzy wyrabiają dziwaczne i przerażające historie. I chce pan, żebym się czuł szczęśliwym? (*Wyciąga z kieszeni kajecik, starannie zawinięty i podaje go gościowi*). Niech pan to weźmie... Opisałem tu wszystkie moje nieszczęścia... Gdy pan przeczyta, jestem pewny, że wymierzy sprawiedliwość.

Gość.

— Dobrze. Proszę liczyć na mnie.

Waryat.

— Zresztą, muszę się panu przyznać—nie mam żadnej nadziei. Istnieją zrządzienia tak fatalne, tak dziwne, tak wyższe nad ludzką wolę, że nie sposób walczyć z niemi!

Gość.

— Ależ napewno, napewno... przyrzekam.

Waryat.

(*Poufale*):

— Czasem przylatuje tu mały motylek, Nie wiem, po co, bo tu niema kwiatów. Przez długi czas mnie niepokoił. Tak, panie, przylatuje tu mały, żółty motylek... podobny do tego, którego w tym dniu okropnym widziałem w brudnych i twardych rękach krawca. Jest tak samo delikatny, wąły i ładny. I tak wdzięcznie, tak rozkosznie lata... aż miło patrzeć... Ale nie zawsze jest żółty... Czasem bywa niebieski, czasem biały, liliowy lub czerwony... Zależy od dnia... Czerwonym bywa wtedy tylko, kiedy ja płaczę... Wydaje mi się to podejrzanem... Mam wewnętrzne przeświadczenie... tak, jestem pewny, że ten mały motylek (*nachyla się do gościa i mówi mu cicho do ucha*), to moja myśl... Pst!

Gość.

— Tak pan myślisz?

Waryat.

— Ciiicho!... Ona mnie szuka, szuka od lat dziesięciu. Nie mów pan nikomu, nikomu!... O, nieszczęsna, jakąż drogę przebyć musiała! Biegła pewno przez morza, pustynie, góry, lodowce, zanim do mnie doszła... To mi serce łzami zalewa. Ale jakże ma mnie odnaleźć, kiedy ja nie mam nazwiska? Wołam napróżno—ucieka przedemną, ucieka, ucieka... Nie dziwnego. I cóżby pan zrobił na jej miejscu?... O, tak, pan dyrektor niegodziwie ze mną postąpił. (*Odwraca się nagle*). Proszę patrzeć... widzi ją pan?... O, tam... nad drzewami.

**Gość.**

— Nie widzę nic.

**Waryat.**

— Nie widzi pan? Ot, tam dalej, spada na dół *(pokazuje w przestrzeni jakiś punkt imaginacyjny)*. Jest dziś liliowa... cała liliowa... Szuka mnie... a nigdy się nie połączymy. *(Kłania się i oddala w kierunku niewidzialnego punktu. Przez kilka minut biegnie za nieistniejącym motylem, krąży, rzuca się naprzód, przecinając rękami powietrze. Potem zmęczony, zadyszany, spotniały pada pod drzewem)*.

**Dyrektor.**

— No i masz pan!... Ten człowiek nie większym jest waryatem, niż inni poeci, tacy, którzy chodzą swobodnie po świecie *(wzrusza ramionami)*, którzy opisują nam ogrody swych dusz i aleje swych umysłów, którzy porównywają włosy swych zmysłowych kochanek do przędzy jedwabnej, a których potem ozdabiają orderami, którym wnoszą pomniki... Czy chcesz pan teraz zobaczyć deputowanego? Ten jest znacznie zabawniejszy, no, i praktyczniejszy, niż poeta... Zawsze ma nadzieję, że przyniosą mu nieco czeków... Biega po podwórzu i wykrzykuje: „Ojczyznę za czek! Ojczyznę za czek!” Był niegdyś oportunistą...

*(Odchodzi).*

JULIUSZ LEMAITRE

## MYRRA.

Panna - męczennica.

— Módlcie się i czuwajcie, bo blizką jest godzina. Mnożą się znaki, a biada tym, co mają oczy i nie widzą! Rozpalone kamienie pospadały z nieba. Deszcz krwawy nawiedził Puzzole i Kumy. Niebo garzało czerwoną łuną przez całą noc, gęste dymy zwisają dalej nad polami Flegrejów. Wspomnijcie na wylew Tybru, na huragany, co pustoszyły Kampanię, na zarazę, co zeszłej jesieni wytrzebiła trzydzieści tysięcy mieszkańców Rzymu, i na głód, który potem nastał, i na trzęsienie ziemi, co zburzyło połowę domów w Pompei, tem mieście zbytku i rozpusty. A oto znów jakaś kobieta w Suburze porodziła prosiaka ze łbem krogulca.

I kapłan Tymoteusz odgarnął uroczyscie swój szkarłatny płaszcz, narzucony na białą, wełnianą szatę. Chrześcijanie, słuchając mistrza, wpatrywali się w niego gorąco, lub spuszczały oczy, aby nie opuścić ani słowa. Byli to niewolnicy, przekupnie, robotnicy i posługacze. Zgromadzenie odbywało się w wielkim grobowcu, gdzie wierni, za opłatą rocznej składki, mieli zapewniony grób po śmierci. Ściany prawie całkowicie pokryte były tablicami grobowymi, na których obok napisów widniały palmy, baranki, ryby i gołębki. Mosiężne lampki, zawieszzone na łańcuskach u kamiennego stropu, słabo oświetlały obnażone głowy mężczyzn i zawoalowane twarze kobiet.

Kapłan mówił dalej:

— Opowiem wam widzenie, jakie Pan na mnie

zesłał. Oto wyłaniała się z wód kobieta, siedząca na dzikiej bestyi. Odziana w purpurę, obwieszona złotem, perłami i drogiemi kamieniami, dzierżyła w ręku czarę, napelnioną winem swych nieczystości, bo się ciekala ze wszystkimi królami ziemi. Bestya była szkarłatna; ciało miała lamparta, nogi niedźwiedzia, a paszczę lwa. I paszcza ta rzygała bluźnierstwa przeciw Bogu, Jego imieniowi, Jego ołtarzowi i przeciw tym, co w niebie zamieszkali. A ludzie mówili: „Któż dorówna potworowi? Kto mu walkę wypowiedzieć zdolen?” I wielbili go wszyscy, oprócz tych, których imię od początku wieków zapisano w księdze życia zamordowanego Baranka... Lecz przyjdzie, przyjdzie Pan. Bezczelna uwodzicielka stracona zostanie w morze, a bestya—pograżona w siarczysty staw, co wiecznie płonie. I zbuduje Pan na ziemi dla swych wybranych nowe Jeruzalem!

W tej chwili młodzianka dziewczyna, dziecko prawie, siedząca w ostatnich rzędach wiernych i z natężeniem słuchająca mowy kapłana, pochylała się ku sąsiadce, staruszce, której zżółkłą twarz osłaniał biały, lniany welon i spytała pociechu:

— Powiedz mi, jeżeli wiesz, dobra Mameo, kto jest ta uwodzicielka z czarą w ręku i co to za szkarłatna bestya?

— Łatwo zrozumieć, Myrro, kobieta—to Rzym, a bestya, to cesarz Neron. Ale nie trzeba tego mówić głośno.

Zamyśliła się Myrra. Zmarszczyło się jasne jej czoło, a wielki smutek ocienił lica.

Rozpoczęła się msza. Tymoteusz z rękoma wyciągniętymi nad kamiennym ołtarzem, na którym był chleb i wino, odmawiał modlitwy. Potem wierni zbliżali się kolejno, aby łamać chleb i pić z kielicha. Ale Tymoteusz odepchnął od świętego stołu dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

— Ci oto bracia nasi i te oto siostry zgrzeszyli publicznie, więc publiczną winna być ich kara. Kor-

winusa widziano w karczmie z kobietą złego życia. Vultejusz był obecnym przy ofercie w świątyni Eskulapa. Materna chodzi do cyrku, a Akcyja popełniła grzech cudzołóstwa. Wszyscy czworo pościć będą o chlebie i wodzie cały miesiąc i na ten czas wyłączeni zostaną od komunii. Wstyd mi, że muszę wyjawiać tak ciężkie grzechy i zadawać takie kary. Im bardziej zbliża się godzina, tem doskonalszą winna być świątobliwość wiernych, a występki tem mniej spodziewać się mogą pobłażania. Ciało bowiem spróśne jest wobec Boga; gry i widowiska są dziełem szatana, a chrześcijanin obecny, chociażby ciałem tylko, przy składaniu czci bałwanom, ponawia zdradę Judasza. Biada tym, na których spłynęło światło, a postępują, jak poganie! Świat jest potępiony: niechaj nic wspólnego nie będzie pomiędzy nim a nami! Drżymy, bracia, i oczekujmy Sędziego, który nadejdzie.

Korwinus, Vultejusz i Materna stali ze spuszczo-nemi głowami, Akcyja zalewała się łzami.

Biskup Kallist, starzec, siedzący u stóp ołtarza, powstał nagle. Twarz miał pooraną głębokimi zmarszczkami i brodę, jak śnieg białą, ale błękitne oczy dziecięcą jaśniały słodyczą.

— Pozwól mi przemówić do nich — zawołał do Tymoteusza.

I zwracając się do Korwinusa, zapytał:

— Co masz na obronę zgorzienia, jakie dałeś braciom?

Młody, czarny, o potężnym karku, Korwinus odpowiedział:

— Wiem, że zgrzeszyłem. Ale bywają dni, gdy pogoda jest tak piękna, a słońce tak grzeje, że zapominam o tajemnicy Upadku i Odkupienia i, mimo woli, ogarnia mnie chęć życia i użycia. Jakaś przechodząca kobieta dała mi znak i podążyłem za nią i zapomniałem prawie, że mam duszę. Lecz po grzechu było mi śmiertelnie smutno. Więc zacząłem

opowiadać tej kobiecie o nauce Chrystusa Pana. W miarę, jak mówiłem, odsuwała się odemnie, a potem mnie błagała, abym ją zaprowadził na nasze zgromadzenia.

— A ty? — zapytał starzec drugiego winowajcy.

Vultejusz, człowiek średniego wieku, o twarzy dobrodusznej, odpowiedział:

— Mąż mojej siostry, bałwochwalca, chciał złożyć ofiarę Eskulapowi, aby mu uzdrowił żonę. Prosił, żeby pójść z nim do świątyni, więc poszedłem, bo nie śmiałem powiedzieć, że jestem chrześcijanin, a nie chciałem być złym bratem. Ale chociaż wierzę, że Eskulap jest szatanem, muszę wyznać, że chora wyzdrowiała w kilka dni po ofercie.

— A ty, Materno? Opowiedz nam swą winę.

Młoda, otyła blondynka, o żywych, wesołych oczach, których nie zdołała przytępić skrucha, odrzekła:

— Mąż mój, którego nie mogłam dotychczas nawrócić, prosił mnie, abym z nim poszła do cyrku. Zrazu odmówiłam, ale się rozgniewał. Ustąpiłam więc, żeby mieć spokój w domu, a co prawda i z ciekawości, bo dnia tego sam cesarz miał kierować wozem w sześć koni.

Myrra podniosła głowę. Spodziewała się, że Kallist zapyta Materny, jak wygląda Neron i co ta kobieta czuła, gdy go ujrzała. Ale starzec zwrócił się ku Akcy:

— A ty, moja córko, jakże mogłaś...

Wysoka, wiotka Akcy ukryła twarz w dłoniach i płakała dalej. Wreszcie pośród łkań, wstrząsających jej białym welonem, odrzekła:

— Kochałam go...

Kallist zastanowił się chwilę.

— Vultejuszu i Materno, czy macie w sercu żal za waszą słabość i próżną ciekawość? A wy, Korwinusie i Akcy—za waszą nieczystość?

Czworo pokutników dało znak potwierdzający głowę, ale Akcy, czy z powodu łez, co ją dusiły, czy może zmieszana jakimś wspomnieniem, zrobiła to nieco później od innych.

— A więc — mówił Kallist — rozkazuję wam przez tydzień modlić się dwa razy więcej niż zazwyczaj i szukać wszelkich sposobności do pomagania chorym i nędzaczom. Idźcie w pokoju i nie grzeszcie więcej.

Potem dodał do samego siebie:

— Oto jakby On powiedział. Wiem, bom Go oglądał.

Gdy Kallist przemawiał tak miłosiernie, tajemniczy smutek, zalewający serce Myrry, ustępował powoli. A przecież, kiedy po skończeniu ceremonii Kallist zbliżył się do niej, miała jeszcze w oczach troskę i niepokój.

— Niech cię Bóg strzeże, Myrra — rzekł starzec. — Ale jakoś smutna mi jesteś. Co tobie?

— Ojcie, chcę cię o coś zapytać. Ale nie będziesz się gniewał?

— Nigdy dotąd nie gniewałem się na ciebie, Myrra...

— Chciałam się zapytać, czy cesarz Neron jest tak zły, jak mówi Tymoteusz.

— Niestety, moje dziecko!

— Mam go więc nienawidzić?

— Nie należy nienawidzić nikogo, Myrra. Tylko grzech trzeba niecierpieć.

— Więc skoro cesarz był dobrym dla mojego ojca, mogę mu być wdzięczną?

— Z pewnością.

— Ale—dodała Myrra po chwili—czy to grzech starać się zobaczyć cesarza?

Spokojna twarz starca przybrała nagle wyraz surowy i ostry. Tonem gniewu i groźby zawołał:

— Byłby to bardzo ciężki grzech od dnia dzisiejszego, bo w imię Boga i mocy, którą mi dał nad

tobą, zabraniam ci, słyszysz, Myrro? zabraniam ci starać się widzieć tego, o kim mówisz.

— Będę posłuszna—rzekła Myrra. — Ale nigdy, ojcze, nie mówiłeś do mnie tak surowo.

— Ja nie chcę cię martwić — mówił starzec, gładząc włosy dziecka. — Mówię tak do ciebie, bo cię kocham.

— Więc wesprzyj się na mnie i nie bój się, że mnie zmęczysz. Jestem silna.

I, podobni do Edypa z Antygoną, wyszli starzec i dziewczyna powoli za tłumem wiernych.

\* \* \*

Myrra miała lat szesnaście. Była córką Galijki, zmarłej przy jej narodzinach i niewolnika, Styraxa, zajętego w kuchniach cesarskich. Wychowywała się w podziemiach pałacu i w zakątku ogrodów Cezara, gdzie mieściły się domki niewolników.

Była jak skromny i wonny kwiatek, wyrosły u stóp granitowego kolosu.

Nigdy nie widziała Nerona. Znała go tylko z opowiadań innych niewolników. Słyszała o jego potędze, o jego talentach, o ucztach i balach, które wydawał; ale nikt jej nie mówił o jego zbrodniach, bo mury miały uszy i najdrobniejsze, nieostrożne słowo mogło dojść do cesarza.

W wyobraźni jej była to istota nadzwyczajna, tajemnicza, straszna a piękna, wiodąca gdzieś wysoko, wysoko ponad nią, życie pełne tryumfów, nieomal boskie. W uczuciu jej dla cesarza był i zachwyt, i przerażenie, i rodzaj niemej, nieśmiałej ciekawości.

Pewnego razu jakaś potrawa, przyrządzona przez Styraxa, tak się podobała cesarzowi, że zapytał o imię kucharza, zawezwał go przed swe oblicze i wyzwolił, z warunkiem, że pozostanie na dawnej służbie.

A więc ten wszechpotężny raczył być dobrym! Myrra poczuła głęboką, trwożną wdzięczność.

Lecz Styrax, człowiek prosty i prawy, zasmucił się i przeraził swą przygodą. Widział bowiem zbliżka chwałę Nerona; widział półnagiego, rozszalałego cesarza wśród uczyty, a wokoło niego na kobiercach, usłanych listkami róż, leżały pokotem ciała, powalone przez orgię... Bał się więc swojej wolności, bo ją zawdzięczał pijaństwu Nerona.

Wkrótce potem Styrax umarł, może z choroby, nabytej przy ciężkiej pracy, a może (jak szeptano) z trucizny, którą go napoił przez zazdrość naczelnego kucharza.

Myrrę przygarnęła stara Mammea, mieszkająca w maleńkiej izdebce na Suburze. Nauczyła ją haftowania sukien dla dam rzymskich i z tego rzemiosła żyły obiedwie.

W tym samym domu mieszkał Kallist. Miał on przeszło osiemdziesiąt lat. Niegdyś w Palestynie pobierał mostowe na Jordanie. Widywał tam Jezusa i pierwszych jego towarzyszy, a ponieważ byli biedni i podobali mu się z prostoty i dobroci, przepuszczał ich bezpłatnie. Nie odrazu jednak uwierzył w Dobrą Nowinę; dopiero po męczeńskiej śmierci Jezusa stał się jego wyznawcą.

Przywędrowawszy do Rzymu z Piotrem, pomagał mu głosić Ewangelię. A gdy Piotr i Paweł udali się do Azji na zwiedzanie kościołów, nabył wielkiej powagi u wiernych, bo był wielce enotliwy, a zresztą pozostał jedynym, który oglądał Chrystusa.

I gdy inni kapłani rządzili, jak Tymoteusz, nieco za surowo swą owczarnią i rozmyślali o budowaniu dogmatów nowej religii, aby moc Kościoła ustalić — Kallist był pobłażliwym dla grzeszników. Wymagał jedynie, aby nie byli przewrotni i zatwardziali, a nakazywał tylko miłość Boga i ludzi. I zawsze, gdy był zmuszony przemawiać, dodawał:

— Oto jakby *On* postąpił, oto jakby *On* powiedział. Wiem, bom *Go* oglądał.

Od pierwszej chwili, gdy spotkał Myrrę na

schodach domu, w którym mieszkali, uderzył go wdzięk i niewinność dziewczyny. Przemówił do niej i nie potrzebował wiele się trudzić: dusza Myrry rwała się sama ku Chrystusowi. Starzec i dziewczyna zrozumieli się i pokochali prędko, bo jednakowo byli czysti i litościwi.

Odtąd, co tygodnia, Myrra prowadziła Kallista na zgromadzenie wiernych i odprowadzała go do domu.

\* \* \*

Kallist i Myrra zdążyli drogą Appijską, wykładaną szerokimi płytami i obrzeżoną grobowcami, bielejącymi pośród dębów, wierzb i oleandrów. Zmrok zapadł, a miasto kładło przed nimi na fioletowym tle nieba zarzysy swych wież, łuków i gmachów. Szli do olbrzymiego grodu, niosąc w swych skromnych duszach nową naukę, co miała podbić tego władcę świata.

Myrra zapadła znów w smutną zadumę.

— Ale cóż — zawołała wreszcie — dopełnił ten Neron?

— Nie śmiałbym nawet opowiadać ci tego, Myrro. Nie zrozumiałabyś nawet.

— Ale co?

— Nie będę ci mówił o jego zabawach i strasznych publicznych profanacjach. Nie wystarczy mu własna nieczystość, pragnąłby całą ludzkość zatopić w zepsuciu. Najwyższą jego rozkoszą, gdy pokala wszystko, czego się dotknie. Nie mogę ci powiedzieć więcej. On to uczynił z Rzymu cyrk, karczmę, gniazdo zepsucia.

— A może cesarz dlatego jest takim — zarzucała Myrra — że wszystko mu wolno i że nikt nie dał mu poznać prawdy. A może w gruncie nie ma on serca zepsutego i nie jest złym, ani okrutnym?

— Złym jest każdy, kto myśli tylko o zadowoleniu ciała. Niewinność czyni cię, Myrro, tak pobłażliwą; otruł przeciw swego brata, zabił żonę — dobrą i cnotliwą panią. Zabił Senekę i Burrusa, swych nauczycieli. Byli to ludzie zaci, szczególnie Seneka, którego Paweł bardzo poważał; rozmawiał z nim kilka razy i miał nadzieję, że go nawróci. Zresztą Neron zabił jeszcze wiele innych osób przez zawiść, nienawiść cnoty, lub chciwość. Postanowił nakoniec utopić własną matkę, a gdy mu się to nie udało, kazał ją zamordować centuryonowi. Jest to nietylko najnieczystszy z histryonów, ale najokrutniejszy kat i morderca.. Cóż ci to, Myrro? O czym się tak zamyślałaś?

Dziewczyna rozszerzonemi nadmiernie żrenicami patrzyła, zdawało się, na coś okropnego, a co pragnęła jednocześnie zobaczyć... Potem szepnęła zwolna:

— Ja myślę, że niema człowieka bardziej godnego pożalowania, jak Neron.

\* \* \*

Myrra żyła dotychczas w zupełnem odosobnieniu, w towarzystwie starego Kallista i Mammei. Unikała zawsze tłumu i nie mieszała się do rozmów, które gapie i kumoszki prowadziły przed sklepami przekupniów. Teraz jednak, ile razy odnosiła robotę, lub wychodziła za sprawunkami, zatrzymywała się na ulicy, słuchała opowiadań, a gdy spotkała znajomych, wypytywała o cesarza.

Najobfitszych wiadomości udzielał jej balwierz, Scerota. Miał sklep na rogu ulicy, przy której mieszkała Myrra. Samo rzemiosło pozwalało mu zbierać wiele plotek, które właśnie dokładnie streszczały opinię ludową o osobie, tak mocno zajmującej dziewczynę.

— Tak, to prawda, mówią rozmaicie o Neronie... Najpierw śmierć Brittannikusa. Sprawa bardzo cie-

mna; nie powiem, kto tam był winien, bo sam nie wiem. Ale kiedy dwaj książęta spierają się o władzę, zawsze będzie zły koniec. Teraz przynajmniej jesteśmy spokojni... Potem śmierć jego matki, ale i tej historii nie znam dokładnie. Wiem tylko, że matka była to porządna łotrzyca, która kiedyś nakarmiła trującymi grzybami swego męża, cesarza Klaudyusza. Przytem sama chciała panować za syna i wtrącała się do rzeczy, które do niej nie należały. To przecież nie mogło mu się podobać: trzeba być sprawiedliwym... Co zaś do pierwszej jego żony, Oktawii, zdarzyło jej się, prawda, nieszczęście, ale nikt jej nie znał; była dumna, nie pokazywała się nigdy na ulicy. Gdy się dowiedziano o jej śmierci, nikt się bardzo nie zasmacił. Zresztą, co mnie to wszystko obchodzi? Co mi tam do polityki! Sprzątnął jeszcze cesarz wielu innych, ale to byli bogacze, arystokraci, co nie chcą nic zrobić dla ludu. Cesarz przynajmniej dba o nas. Wydał prawo, zabraniające adwokatom brać tak drogo za sprawy. Chciał znieść podatki pośrednie, ale senat się oparł. Więc cesarz mści się za nas, gnębiąc panów. To wcale niezły król dla nas...

— Zawdzięczam mu wolność—dodała Myrra. — wyzwolił mego ojca.

— A widzisz!—zawołał balwierz.—Nigdy prztem nie urządzano tak pięknych uroczystości. Niedawno jeszcze w czasie świąt Młodości sam powoził na wyścigach... I zwyciężył. Może wszystko było łożone zgóry, ale zawsze jemu się to zawdzięcza.

— Widziałeś go kiedy?

— Jeszcze lepiej, niż ciebie.

— Jakże on wygląda?

— Nie dlatego, że to cesarz, ale powiem ci, prawdę, że piękny mężczyzna. Co za mina!... Trudno mu się oprzeć... Co tu długo gadać—to zupełnie inny człowiek, niż wszyscy... Zresztą, robi, co

mu się podoba, a kto chce mu cośkolwiek zarzucać, niechaj nie przychodzi do mnie... Nie do ciebie to piję, Myrro.

\* \* \*

Myrę ogarniał coraz większy niepokój. Co prawda, nie wątpiła o słowach Kallista, tembardziej, że i balwierz je niejako potwierdzał. Więc gdy starała się uprzytomnić sobie zbrodnię Neroną, drżała z przerażenia i litowała się nad ofiarami. Ale jednocześnie miło jej było pomyśleć, że Neron nie jest nienawidzonym przez lud.

Ciągła myśl o cesarzu potęgowała w niej tajemne życzenie. Gdybyż go zobaczyć! Jeden, jeden tylko raz! Potem byłaby już spokojniejsza. Nie zapomniała przecież o obietnicy: trwała w postanowieniu, że nie uczyni sama nic, aby go spotkać. Zresztą nie zdawała sobie jasno sprawy ze swych uczuć, bo chęć i obawa ogarniały ją razem.

Nie miała więc żadnych złych myśli, gdy poszła pewnego poranku odwiedzić starego Menalga, ogrodnika cesarskiego. Domek jego stał na rogu wielkiego tarasu, ukryty w gąszczach drzew; można było dostać się do niego, nie przechodząc przez ogrody cesarza. Myrra zaniósła córeczce ogrodnika lalkę, ubraną za patrycyuszkę, przyszła jednak głównie, aby pomówić o Neronie.

Wkrótce opowiedziała Manalgowi wszystko, co jej mówił Kallist i dodała:

— Czy to wszystko prawda? Musisz przecież wiedzieć, bo tu jesteś od tak dawna i posiadasz zaufanie niewolników pałacowych.

Menalg pociągnął dziewczynę w głąb izby, obejmując ją i szepnął:

— Wszystko, co ci powiedziano, jest prawdą. Sam wiem jeszcze straszniejsze rzeczy.

I nie dostrzegając bledności, która pokryła nagle twarz Myrry, dodał:

— Nie mówię o tem nigdy, bo pragnę umrzeć w spokoju:

A po chwili dorzucił:

— Może chcesz się przejść? Jest to część ogrodów, najbardziej oddalona od pałacu, więc cesarz nigdy tu nie zagląda, przynajmniej o tej godzinie.

— Owszem—odrzekła Myrra.

Wyszli razem, ale Menalg pozostawił ją wkrótce i poszedł do swego zajęcia.

Długa aleja olbrzymich drzew ciągnęła się od pałacu aż do tarasu i kończyła się wysokim portykiem, co się wznosił ponad całem miastem. W środku alei stała okrągła fontanna z brązowymi trytonami, a z obu stron drogi, w regularnych odstępach, posągi bogów, bogiń, nimf i satyrów.

Nie śmiała Myrra patrzeć na nie, bo były nieskromne, a może z obawy, żeby jej się nie podobały te wyobrażenia bogów. I chociaż była sama, płoszyła się wspaniałością i wystawnością otoczenia.

Nagle usłyszała odgłosy rozmów i ujrzała grupę bogato odzianych ludzi, wchodzących w aleję.

Jak strzała wpadła w zarośla.

Wkrótce ludzie przeszli obok niej. Najprzód kroczył cesarz, wsparty na pięknym młodzieńcu o miedzianej twarzy, podłużnych oczach i szkarłatnych ustach. Za nimi zdążali krokiem miękkiem i niepewnym zwykli towarzysze cesarza: Otton, Sencyon i Tigellin, o twarzach bledych i delikatnych.

Myrra wlepiła oczy tylko w Nerona. Poznała go po podobieństwie z wyizerunkami na monetach, a przede wszystkim po wyrazie twarzy.

Cienkie skręty czarnych włosów opadały mu na niskie, twarde, gładkie czoło. Wyraziste brwi ocieniały zielone, marzące oczy. Szczęki miał szerokie, podbródek wydatny i grube wargi. Cała twarz nosiła cechy boga i zwierzęcia zarazem.

Biała, jedwabna szata połyskiwała złotym haftem, rubinowy naszyjnik opadał na piersi kroplami krwi i ognia, a tłusta ręka, którą opierał na ramieniu pięknego chłopięcia, rzucała za każdym poruszeniem błyskawice drogich kamieni.

Myrra, chociaż była naiwną dziewczynką, od czuła, że ten człowiek nieskończenie dalekim jest od niej, nie tylko przez swe położenie, ale przez swą myśl i swą duszę. A jednocześnie uderzył ją nie zmierny smutek tego wszechmogącego. Doznała dziwnego wrażenia. Uczuła coś jakby głęboką, drżącą litość nad nim, która przebyć musi całą nieskończoność.

Kiedy przechodzili około komyszy, w której się ukryła, Neron mówił głośno. Mówił, jakby do samego siebie, nie odwracając się do towarzyszy:

— Nudzę się.. Zbyt ograniczoną jest moja potęga. Syt jestem rozkoszy, które mogę sobie stworzyć, a te, o których zamierzę, niedostępne są nawet dla mnie... Jestem bogatszy, niż dawni królowie Persyi, a nie mogę osiąść wszystkich skarbów świata... W rozkoszach zmysłowych istnieje szczyt, do którego czasem dochodzę sztucznymi środkami, ale nie mogę w nim wytrwać... Zgładziłem wielu ludzi ze świata, ale nie mogę pozabijać wszystkich nieprzyjaciół, bo ich nie znam... Jestem największym poetą, a muszę, podczas tworzenia, dobierać z wysiłkiem wyrazów i liczyć sylaby... Jestem najznakomitszym śpiewakiem, a przecie, aby zachować mój cudny głos, wstrzymuję się od wina i ulubionych potraw... Wszystko to jest głupie i nędzne... Jestem bardzo nieszczęśliwy... Przeklinałbym bogów, gdyby istnieli... Być największym z ludzi — i nic po nad to — o, wściekłości!... Jakiż marny ten ogród! jaki jednostajny! Chciałbym mieć ogrody tak rozległe, aby mieściły lasy, rzeki, góry i jeziora, żeby przedstawiały najpiękniejsze krajobrazy ziemi, a były nie dziełem natury, lecz sztuki, wyrazu mocy i woli człowieka.

Doszedł do końca tarasu i stanął pod marmurowym portykiem. Pochylił się, popatrzył na nieruchomą falę dachów, rozpostartych na widnokregu i rzeki:

— Jakież to miasto obrzydliwe!

A potem dodał:

— Spalę je!

\* \* \*

Nazajutrz Myrra weszła do ubogiej izby Kallista i, klękawszy przed nim, mówiła:

— Ojcze, zgrzeszyłam ciężko.

— Nie wierzę ci!— odrzekł z dobrocią Kallist.

— A jednak to prawda. Nie dotrzymałam obietnicy. Widziałam Nerona.

Starzec drgnął ze zdziwienia i przestraszenia.

— A on, czy cię widział?

— Nie. Byłam ukryta.

Twarz Kallista się rozjaśniła.

— Dziękuj Bogu— rzekł.

Wypytał dziewczynę, kiedy i jak go spotkała. Opowiedziała wszystko szczegółowo.

— Czy, idąc do Menalga, pragnęłaś widzieć cesarza?

— Zdaje mi się, że tak. Myślałam, że spotkam go przypadkiem.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— A czy wiedziałaś, że go spotkasz, gdyś się przechadzała po ogrodzie?

— Jakże mogłabym to wiedzieć?

— Ale miałaś nadzieję?

— Nie wiem.

— Więc dlaczego mówisz, że zgrzeszyłaś ciężko?

— Bo utraciłam spokój i drzę, jak gdybym wielki grzech popełniła.

— A więc to prawda, że mamy nieświadome siebie myśli i uczucia, że najczystsza dusza nosi w sobie ciemności!... Błagajmy Boga, aby nam pozwolił dojść do poznania siebie i do zniszczenia wszystkiego, co mu się w nas nie podoba... Powiedz mi jeszcze, co uczułaś na widok największego nieprzyjaciela Boga?

— Czyż mam to wyznać, ojcze? O!śniła mnie najprzód jego piękność i wspaniałość, a chociaż nie wszystko rozumiałam, pojęłam jednak, że naprawdę winien jest zbrodni, które mu zarzucają... Ale rozumiałam także, że on cierpi.

— Jeżeli cierpi, to bardzo zasłużenie.

— Nie śmiem powiedzieć, jaka mi myśl przysłała do głowy.

— Mów, Myrro. Bądź posłuszną.

— A może dlatego popełnił tyle zbrodni, że jest cesarzem i że cały świat jest niższy od niego? Może nie jest gorszym od innych ludzi, takich, co zwyczajnie popełniają grzechy?

— Więc, gdyby ciebie, Myrro, Pan Bóg stworzył królową, byłabyś najgorszą z kobiet?

— Cóż ty mówisz, ojcze!

— A więc widzisz!

— Ale cesarz nie zna Dobrej Nowiny. Możeby w nią uwierzył, gdyby mu ją oznajmić. Jak ci się zdaje, ojcze?

— Nie, Myrro, nie wierzę w to wcale. Wszystkie czyny jego napiętnowane są tak głęboką i czarną przewrotnością, że z góry odtrącają łaskę Boga.

— A jednak powiedział coś, co ci się będzie podobało. Mówił, że nie wierzy w bogów.

— Niestety! byłby może bliższym prawdziwego Boga, gdyby wierzył przynajmniej w tamte.

— Mówią także, że chciał znieść podatki przez litość nad biednymi.

— To przez pychę, aby go oklaskiwała tłuszcza

cyrkowa. Odgrywał litość w świętokradzkiej kome-  
dyi. Zresztą, gdyby ulżył biednym w Rzymie, zro-  
biłby to kosztem mocniejszego ucisku innych pro-  
wincyj.

Zadumała się Myrra. Wspomniała na słowa  
Nerona: „Spalę Rzym”, ale nie powtórzyła ich Kalli-  
stowi. Dodała tylko:

— Widzę, że jest to najwystępniejszy z ludzi  
i jedyny może, którego potępienie jest pewnem. Ale  
czy to nie okropne? Jeżeli jest, jak mówisz, niepo-  
prawnie złym, złym rozmyślnie i bez zgryzot, to czyż  
można sobie wyobrazić coś bardziej smutnego? A je-  
żeli Pan Bóg wiedział, że on będzie tak okrutnym, to  
i na cóż go wydał na świat?

— W tem jest, Myrro, boska tajemnica. Bóg  
chciał zapewne tym sposobem wypróbować cnotę słu-  
żebników swoich.

— A może — mówiła dziewczyna półgłosem  
i jakby z wahaniem—może cesarz Neron nie ma du-  
szy i po śmierci zapadnie w nicość? Byłby wtedy  
taką tylko klęską, jak burze lub trzęsienia ziemi.  
Czyż Bóg nie może zsyłać na ludzi doświadczeń, nie  
skazując twórey tych chwilowych bólów na cierpienia  
wieczne?

Kallist był tak zdziwiony, że nie znalazł żadnej  
odpowiedzi.

— Doprawdy—mówiła dalej Myrra—nie z tego  
nie rozumiem. Są przecież mężczyźni i kobiety, któ-  
rzy go kochają... Dobrowolnie obdarzył mego ojca  
wolnością... Jest taki piękny, mówią, że ogromnie  
rozumny... Gdyby było można... Czy to grzech my-  
śleć, że każdy człowiek, cokolwiekby zrobił, może  
być jednak zbawiony?

— Nie, zaiste—odrzekł Kallist.

— A czy grzechem byłoby modlić się za cesa-  
rza Nerona i zadawać sobie pokuty dla jego zba-  
wienia?

— Także nie, ale i to będzie, jak sędzę, zu-  
pełnie daremne.

— A gdyby ktoś ofiarował swoje życie Bogu,  
w nadziei, że Bóg zechce zato zesłać cesarzowi mo-  
żność zbawienia. Czy to byłoby złem?

— Porzuć te myśli, Myrro. Strzeż się, bo ci  
je podsuwa дума i próżna ciekawość. Pozostań, jak  
byłaś, skromnem, pobożnem dzieckiem i spełniaj obo-  
wiązki swego stanu. I przyrzec mi raz jeszcze, przy-  
sięgnij uroczyście, że nie będziesz nigdy chciała oglą-  
dać Nerona. Pod tym tylko warunkiem mogę ci dać  
rozgrzeszenie.

— Przyrzekam ci, ojcze, ale to nie moja wina,  
że odkąd go zobaczyłam, myślę o nim ciągle.

\* \* \*

Pewnego dnia poszła Myrra odnieść hafty ja-  
kiejs damie, mieszkającej na wsi, w okolicach  
Rzymu.

Wracając wieczorem, ujrzała na niebie wielką  
czerwoną łunę. Im bardziej się zbliżała do miasta,  
tem mocniej blask się rozszerzał, aż zalał całe niebo.  
Drzewa przy drodze, po której szła dziewczyna, były  
jaskrawo oświetlone, a cień szedł za nią jak przy  
słońcu.

Na zakręcie drogi zobaczyła cały Rzym w pło-  
mieniach.

Pożar wybuchnął w wielkim cyrku, między  
wzgórzami Palatyńskiem i Coeliusem. Pochłonął  
wkrótce tę dzielnicę o wązkich, krętych uliczkach,  
gdzie domy łączyły się prawie szczytami, zapadały  
w ziemię i wyciągały, jak w rurach jakiegoś komina  
cyklopów. Teraz już ogarniał wzgórze Palatyńskie,  
podobne do wyspy na ognistem morzu i, liżąc stopy  
wzgórza, zalewał wokół Velabrum, Forum i Karyny.  
Przekroczył nakoniec wzgórze cesarskie i buchnął

wściekle, aż ku gwiazdom. Ztamtąd ognistym deszczem spadł na Suburę. I cały Rzym wyglądał jak niezmierny piec, w którym węgle przybrały postać kopuł, frontonów, portyków i podziurawionych murów...

Przechodząc u podnóża wysokiego tarasu, na którym wznosiła się kwadratowa wieża, usłyszała Myrra śpiew przy akompaniamencie liry.

Śpiew był powolny i smutny, w języku dla niej nieznanym, bo była to elegia Simonidesa na pożar Troi. Melodyjny, choć słaby głos, zawodził i jęczał. Myrra stanęła i słuchała. Uczuła wkrótce, że smutek był udany, a śpiewak podziwiał własny swój głos. Bolał ją ten śpiew.

Przybywszy do Kapeńskiej bramy, spotkała tam tłumy zrozpaczonych ludzi, obozujących pomiędzy szczątkami sprzętów i łachmanów, które wydrzeć zdołała płomieniom.

Niektórzy płakali, opowiadając, jak ktoś z rodziny, stara matka, żona lub dziecko poginęli w płomieniach.

Jakiś człowiek mówił:

— Jestem pewny, że zginęło do trzystu osób w samej tylko dzielnicy Esquiliów.

— Trzeba — mówił inny — gasić ogień, a przynajmniej zatrzymać płomień. Rozwalajmy otaczające domy.

— Próbowaliśmy — odpowiedziano mu — ale wszędzie są ludzie, którzy zabraniają udzielać pomocy. Mówią, że mają wyraźny rozkaz.

Przypomniała sobie Myrra słowa cesarza. Spełnił więc, co zamierzał! Oczywiście ta zbrodnia przewyższała wszystkie inne. I ona ją widziała, widziała ją zblizka, miała cały jej ogrom przed oczyma!

Z sercem pełnym współczucia dla ofiar, myślała:

— Prawda, o Boże, że otworzysz wrota rajy tym nieszczęsnym i że cierpienie ich, jako zły sen,

przemienie?... Ale on! on! Jeżeli czas jeszcze, ofiaruję ci, Panie, życie moje, ale racz mu zesać promień swej łaski!

\* \* \*

Doszła wreszcie do Subury, niespokojna o Kallista i Mammeę. Oboje ocalili, ale dom ich zamienił się w popioły. Wielu innych chrześcijan było także bez dachu. Kallist pocieszał ich i umacniał.

— Wielbijmy Pana — mówił — że nam zabrał tę szczyptę dóbr ziemskich, do których zanadto byliśmy przywiązani. Powszechna klęska będzie nam okazywać wzajemnej pomocy i okazania, że się kochamy.

Cesarz pozwolił pogorzelncom chronić się w ocalonych świątyniach, na rynkach, a nawet wpuścił ich do swoich ogrodów. Kazał dla nich pobudować na Forum szałas i rozdawać żywność.

Pomimo to mówiono wszędzie w tłumach, że pożar był dziełem Nerona. Widziano, jak śpiewając, patrzył z wieży na straszne widowisko.

Wieści te przypominały Mirze śpiew histryona, słyszany po drodze. Ale tym, co wobec niej oskarżali cesarza, odpowiadała, łudząc samą siebie:

— Gdyby on podłożył ogień, to czyżby teraz pomagał tak gorliwie ofiarom?

I nie spostrzegając, jak wątem było takie rozmowanie.

\* \* \*

Chrześcijanie, nie chcąc korzystać z pogańskich świątyń, ani z szałasów przez wzgardę dla osoby, co tej pomocy udzielała, schronili się do katakumb.

Myrra i Mammea robiły dalej hafty dla dam rzymskich, mogły więc nie tylko zarobić na życie, ale jeszcze pomagać biedniejszym braciom.

Pomimo okropnej nędzy, w jakiej się znaleźli,

wielu chrześcijan cieszyło się z pożaru, bo nienawidzili Rzymu, miasta nieczystości.

Tymoteusz zwłaszcza promieniał ponurą radością. Mówił raz do zebranych braci:

— Ręka, która wzniciła pożar, jest wstrętną. Ale to, co wykonała, stało się za wolą Boga. Patrzcie bowiem: najstarsze świątynie bałwanów, których przewrotność, lub głupota niewiernych najbardziej czcila—leżą w gruzach! Spalona świątynia Księżyca, zbudowana przez Serviusza Tuliusza. Spalona świątynia Herkulesa! Spalona świątynia Jowisza Statora, wzniesiona przez Romulusa! Spalony pałac Numa Pompiliusza, spalona świątynia Vesty! Jest to najoczywistszy znak zbliżającego się końca świata, który ma zginąć przez ogień. A koniec świata będzie dla nas początkiem zwycięstwa i szczęśliwości.

— Mój bracie!—rzekł Kallist—masz może słusność. Ale jakże tu cieszyć się z wypadku, który sprawił tyle cierpienia maluczkiemu, ukochanemu przez Jezusa.

W tej chwili żołnierze z centuryonem na czele wpadli do podziemi.

— Aresztujemy was z rozkazu cesarza—zawołał centuryon.

— Za co?—zapytał Kallist.

— Bo wy, chrześcijanie, podpaliliście to miasto. I wskazując Tymoteusza, dodał:

— Czyż mowy tego nędznika nie są jasnym dowodem?

Myrra sądziła, że ostatnia zbrodnia Nerona była straszniejszą od wszystkich. A tymczasem popełnia coś jeszcze okropniejszego, bo oskarża niewinnych o zbrodnię. Wołała więc do Boga:

— Za niego, dla jego zbawienia, weź, Panie, nietylko życie moje, lecz zeslij na mnie wszelkie tortury, jakie dla mnie, niegodnej, przeznaczyć raczysz!

Żołnierze zabrali wszystkich chrześcijan i rzucili ich pospołu w lochy Mameryńskiego więzienia.

Myrra, myśląc, że była uwięziona z rozkazu Nerona, doznawała mętnej radości. Po raz to pierwszy wola wszechpotężnego Cezara działała na jej marny los. Widziała w wyobraźni coraz piękniejszą, straszniejszą i smutną twarz cesarza i żyła nadzieją, że stanie przed nim do śledztwa.

Często w więzieniu kapłan Tymoteusz pośród modlitwy wybuchał przekleństwami na Nerona, wspominał jego zbrodnie, nie nazywając go inaczej, jak „bestya.”

A chociaż wiedziała, że Tymoteusz miał słusność, Myrra cierpiała okrutnie.

Pewnego razu jeden z więźniów dowodził, że to cesarzowa Poppea namówiła Nerona do oskarżenia chrześcijan, gdyż będąc religii żydowskiej, nienawidziła uczniów Jezusa. Opowiadał, że cesarz szalenie kochał Poppeę, że dla niej zabił swą pierwszą żonę, że niczego jej nie odmawia, że niedawno sprowadził trzysta oślic na jej mleczne kąpiele.

Więc chociaż wmieszanie się Poppei zmniejszało zbrodnię Nerona, Myrra dnia tego cierpiała jeszcze mocniej.

— Och, ta żydówka!—mówiła sobie pocichu.

\* \* \*

Wezwano więźniów przed prokonsulat, co było wielkim zawodem dla Myrry. Zapytał ich tylko, czy są chrześcijanami i skazał na rzucenie lwom w cyrku.

— Czy cesarz tam będzie?—spytała Myrra jednego ze stróżów.

— Cesarz nie opuszcza nigdy takich widowisk. Wielka radość zabłysła na twarzy dziewczyny, na jej bladej, przezroczyściej twarzy, gdzie widniały tylko wielkie, gorejące oczy, o zmęczonych powiekach, i małe usta, półrozwarłe gorącym oddechem aniel-

skiego požądania... Uczuwała zamęt w głowie. Słodko jej było umierać dla tak wielkiego winowajcy i spełnić w ten sposób swój ślub. Ale umierać przez niego — czyż to nie okropnie! Nie, bo chociaż to zdawało jej mękę, ale poświęcenie będzie tem większe, tem skuteczniejsze, a więc przez to samo mniej bolesne... Zresztą, nie wiedziała, co o tem myśleć... Czasem rozpacz ją ogarniała, ale nie pojmowała, dlaczego Neron nie budzi w niej grozy? Nie widziała już nic, nic nie słyszała, żyła w marzeniu i gorączce.

Stary Kallist patrzył na nią z niepokojem. Od dawna już nie mówiła mu o Neronie. A przecież czuł, że wciąż o nim myśli. Rozwagał, czy nie należało w tej dziwnej trosce widzieć cudu miłosierdzia. Ale nie śmiał o nic pytać, bo się obawiał, że nieostrożnem słowem wznieci niepokój w jej duszy.

W przeddzień męki, po wieczornej modlitwie, którą skazani odmawiali wspólnie, Myrra rzekła głośno:

— Módlmy się za cesarza Nerona.

Chrześcijanie zawahali się chwilę, ale Kallist pomyślał:

— Daremnie się niepokoiłem, Myrra jest enotliwszą od nas wszystkich.

I zaczął modlitwę za cesarza, a wszyscy powtarzali za nim.

Słyszając to jeden ze stróżów więziennych, wysoki, jasny, Gall, rozplakał się i prosił Myrry, aby mu wytłómaczyła naukę Chrystusa.

\* \* \*

Nazajutrz zaprowadzono chrześcijan do niskiego podziemia, leżącego pod areną cyrkową.

Poprzez kratę widziała Myrra błyszczącą od światła arenę, a na ławach, ustawionych w półkole, tłumy widzów: senatorowie, rycerze, żołnierze, plebejusze, westalki i kurtyzany w wełnianych kapelu-

szach, w żółtych tunikach, w płaszczach jedwabnych. Tłumy hałasowały, a zasłony, zawieszane u góry, rzucały na nie ruchome, czerwone refleksy.

Naprzeciwko ujrzała Myrra rąbek ciężkich makat, zwisających z łoża cesarskiej, a z boku za kratami w półcieniu przechadzające się lwy.

Skazańcy modlili się na klęczkach, lub żegnali się jedni z drugimi. Niektórzy, chociaż wola ich nie osłabła, wobec tego sąsiedztwa śmierci płakali i drżeli. Tymoteusz i Kallist starali się dodać im otuchy. Tymoteusz mówił:

— Jakież to szczęście stwierdzić wiarę własną krwią i gardzić bezsilnym gniewem bezbożnika! Krew nasza wołać będzie o pomstę nad nim. Mówię wam jeszcze raz, że bliską jest godzina... Cóż znaczy chwila cierpienia, wobec wiecznej szczęśliwości? Głupi tylko, lub tchórz może się zawałać!

A Kallist tak przemawiał:

— O, bracia moi, Bóg was oszczędza. Czemże się różni śmierć, co was czeka, od śmierci myśliwego na polowaniu? Pójdziemy razem, tak silnie złączeni miłością, że nie uczujemy kłów, ani szponów zwierzęcych. A Bóg z krwi waszej uczyni wielkie sprawy! Umierając, założycie podstawę pokojowi i szczęściu przyszłej ludzkości.

Myrra stała ciągle na uboczu, u kraty, obca wszystkim, co się koło niej działo.

Dozorecy otworzyli jednocześnie kratę więźniów i zwierząt i — nastąpiła wielka cisza.

Myrra najpierwsza weszła na arenę. Ujrzała cesarza na estradzie i prosto, krokiem lekkim i różnym szła wprost ku niemu, myśląc sobie.

— Musi mnie teraz zobaczyć. Dusza moja uleci blisko niego, aby zbawić jego duszę.

Kallist zdążył za nią tak szybko, ile mu wiek pozwolił.

Lwy powychodziły z klatek i olśnione nagłem

światłem, stanęły, lub kręciły się na miejscu, ze spuszczoneimi łbami.

Myrra posuwała się dalej, z oczami wlepionemi w Nerona. Cesarz, pochylony ku jednemu z towarzyszów, uczuł na sobie ten wzrok i odwrócił się niechętnie. Myśląc, że dziewczyna zechce go błagać o łaskę, uśmiechnął się złośliwie.

Lecz ona, nie mówiąc ani słowa, nie poruszysz złożonych rąk, podeszła do samych stóp estrady, stanęła nieruchomo i patrzyła wciąż na niego.

Rozpuszczone włosy spływały po jej ramionach, a przez rozdartą suknię widać było delikatną szyję.

Cesarz pochylił nieco swą bosko-zwierzęcą głowę. Nagły płomyk błysnął pod jego ciężkimi powiekami... Wstał, zawołał dowódcę dozorców i dał znak łaski...

Jeden ze lwów, zauważywszy Myrrę, zbliżał się z boku...

Wówczas stary Kallist, zrozumiawszy znak cesarza, chwycił Myrrę w swe chude ramiona i z całym siłą cisnął ją między lwy...

MARCELI SCHWOB.

DOMM.

Sakuli, trefniś pewnego Maharadży, który żył za panowania Vikramaditży, rzekł raz do niego:

— Panie, jak się zapatrujesz na życie?

— Cóż to za pytanie? — odpowiedział Radża. — Życie jest darem bogów; nie do nas należy je oceniać. Dają nam je i odbierają wedle swego upodobania, więc też każdy zadawalnia się własnem. Co do mnie, wielbię bóstwa, że mi pozwoliły żyć, aby czynić dobro.

— A czy sądzisz, że każdy człowiek, nawet z najniższej kasty, może być zadowolony z życia i czynić dobra? — mówił trefniś.

— Zapewne — tłumaczył Maharadża — jeżeli jest cnotliwy i wdzięczny bogom.

— Doskonale — rzekł Sakuli — jesteś wcieleniem siedmiu cnót.

Maharadża był nadzwyczajnie pobożny. Żył niezmierną cześć dla świętych jasnowidzących. Nie pozwalał toczyć swego wozu po lasach pustelników i nie zabijał na polowaniu ich ulubionych antylop. Opiekował się fakirami, a gdy ich spotykał na drodze, pokrytych błotem i nieczystością, porośniętych trawą, która kiełkowała na ich ciele od lat dwunastu, obmywał ich nabożnie, ażeby, gdy się obudzą, mieli

białe, czyste ciała i poszli rozsiewać po różnych krajach błogosławieństwo niebios.

Posiadał bogactwa tak niezmierzone, że nie znał ich liczby. Stoły jego służebników wykute były ze szczerzego złota; łożka służebnic — rżnięte w dyamentcie. Żona jego, Rani, gwiazdy miała na twarzy, a księżyce na rękach; jego syn był zbiorem łask niebieskich. Najdalsi królowie tłumami przybywali do niego, znosząc najcenniejsze dary swych krajów. Nie było w ziemiach jego ani tygrysów, ani dyabłów, ani nawet Rachazów, co biorą na siebie postać ludzką i wśród nocy otwierają piersi i pożerają serca.

Lecz po tej rozmowie z trefnisiem Sakulim zapadł Radża w czarną zadumę. Myślał o rolnikach, o robotnikach, o ludziach z kast niskich. Zastanawiał się, że dar życia tak nierówno podzielony został przez bogów. Roił sobie, że może prawdziwa pobożność nie zależy na tem, aby czynić dobro, będąc potężnym, ale na tem, żeby je móc sprawować, będąc maluczkim. I zapytywał samego siebie, czy pobożność wykwita jako ten kwiat olbrzymi ze złotego serca bogaczy, czy też rozwija się delikatnie, niby ów skromny kwiatek polny na glinianych sercach biedaków?

Wówczas zgromadził wszystkie swe książęta i uroczyście złożył oświadczenie. Wyrzekł się tronu i wszelkich jego przywilejów. Rozdał swe ziemie i grunta lenne; otworzył piwnice ze skarbami i porzrzucał je; worki ze złotem i srebrem porozrywał i kazał cisnąć pieniądze na place publiczne pomiędzy lud; kosztowne rękopisy swej biblioteki puścił z wiatrem. Wezwał swą żonę, Rani, i wyrzekł się jej wobec rady; musiała razem z synem wracać do kraju, z którego pochodziła. A gdy książęta, żona, dziecko i służący odeszli, ogolił głowę, zdarł bogatą szatę, owinał się kawałem grubego płótna i własny pałac podpalił pochodnią. I buchnęły czerwone pło-

mienie ponad drzewa rezydencyi królewskiej. Słychać było trzask inkrustowanych sprzętów i komnat z kości słoniowej; przetykane drogiemi kamieniami makaty zwieszały się czarne i popalone.

Tak to odszedł Radża przy blasku swych skarbów. Chodził od słońca do słońca, od księżycy do księżycy, aż mu sandały z nóg pospadały. Więc poszedł dalej boso po cierniach i krwawił swe stopy. Zwierzęta pasorzytne, co żyją z łaski Bożej na korach drzew i powierzchni liści, weszły mu pod skórę podszew i wywołały spuchnięcie. Nogi jego stały się podobne do napełnionych bukłaków, które ciągnął za sobą, pełzając na kolanach. Oskrzydlone zwierzątka, takie maleńkie, że trudno je widzieć, bo żyją w powietrzu, pospadały z deszczem na jego głowę. Włosy Radży zwały się w bolesne kołtuny, a skóra na czaszce wzdęła się od ran i błyszczących guzów. I całe jego ciało krwawiło od bydlatek ziemi, wody i powietrza, które w nim zamieszkały.

Ale Maharadża znosił cierpliwie wolę bogów, wiedząc dobrze, iż wszystko, co oddycha, posiada duszę i że nie trzeba zabijać, ani morzyć głodem istot żyjących. Chociaż sam cierpiał straszliwie, uczuwał jednak litość dla wszystkich dusz, co go otaczały.

— Zaiste — mówił sobie — nie jestem jeszcze fakirem; poświęcenie powinno być trudniejszym i wálka okropniejszą. Wyrzekłem się bogactw, i żony, i syna, i zdrowia; czegoż potrzeba jeszcze, aby osiągnąć uczucie litości, kwitujące w sercu biedaka?

Nigdy Radża nie pomyślał, że jednym z największych dóbr ziemskich jest wolność. Gdy mu to przyszło do głowy, spostrzegł, że wolność jest przywilejem królów tego świata i że musi jej się wyrzec, aby dojsć do prawdziwej pobożności. Postanowił sprzedać się pierwszemu biedakowi, którego napotka.

Idąc przez czarną okolicę, gdzie ziemia była

tłusta i wilgotna, gdzie ptaki niebieskie zataczały kręgi i chmurą spadały na dół, ujrzał Maharadża nad czarnym stawem lepiankę z gałęzi i błota, najędźniejsze dzieło rąk ludzkich. U wejścia stał kolorowy stary człowiek o brudnej brodzie i krwawych oczach; ciało miał pokryte mułem i wodnemi roślinami, a całą powierzchowność wstrętną i nieczystą.

— Kto ty jesteś?—zapytał biedny król, pełzając na rękach i kolanach.

Usiadł koło lepianki, wyciągnął swe spuchnięte nogi i oparł o ścianę olbrzymią głowę,

— Jestem Domm—odrzekła nieczysta istota.— Pochodzę z niskiej kasty; rzucam ciała umarłych, które mi przynoszą do tego stawu; za trupy dorosłych płacą mi po rupii, za ciała dzieci po osiem annasów. Ludzie bardzo biedni dają mi kawałek materji.

— Dobrze — rzekł Radża — sprzedam się tobie, czcigodny Dommie.

— Niewiele wart jesteś — mówił topiciel — ale kupię cię za tę oto szczyptę złota. Możesz mi się przydać, gdy gdzie odejdę na chwilę. Siądź sobie tu, jeżeli masz chore nogi, obmaż je błotem; jeżeli ci głowa puchnie, pokryj ją wodnemi liśćmi, a będzie ci lepiej. Jak widzisz, jestem bardzo biedny. Oddałem ci ostatnią uncję złota, aby mieć w tobie towarzysza, bo samotność jest straszną, a w nocy budzą mnie szczękania paszcz krokodylowych.

Pozostał Radża u Domma. Żywili się jagodami i korzonkami, bo rzadko mieli trupa do utopienia. A ludzie, przychodzący do stawu Domma, byli tacy nędzarze, że najczęściej mogli dać tylko kawałek materji, lub osiem annasów. Ale Domm był bardzo dobry dla Radży, opatrywał mu okropne rany, jakby spełniał zwyczajny obowiązek.

I oto nastał w państwie czas wielkiego urodza-

ju. Niebo było błękitne, drzewa obsypane kwieciami. Ludzie nie chcieli wcale umierać. Domm jęczał z głodu, napół zakopany w zeschnięte błoto.

Ujrzał wówczas Radża nad stawem starą kobietę, niosącą ciało chłopca. Serce Radży żywiej zabiło: poznał syna, swego syna, który umarł. Ciało było chude i bezkrwiste; żebra wystawały z pod skóry; policzki syna Radży były zapadłe i ziemiste, znać było, że umarł z głodu.

Rani poznała króla i pomyślała:

— Utopi trupa swego syna bezpłatnie.

Nieszczęsny Radża powłókł się na kolanach do wychudzonego ciała syna i płakał nad jego głową. Potem uczuł litość nad Dommem i powiedział do Rani:

— Musisz mi dać osiem annasów za utopienie mego syna.

— Jestem biedna—odrzekła Rani—nie dać nie mogę.

— Trudno—mówił Radża—idź, nazbieraj ryżu. Ja tu strzedz będę ciała swego syna.

Ziarnko po ziarnku przez siedem dni zbierała Rani ryż, aby zarobić osiem annasów, a Radża wciąż płakał nad synem. A gdy dostał pieniądze, utopił ciało syna w czarnym stawie i oddał pieniądze Dommowi, aby go zbawić od śmierci głodowej. I wówczas oslepiający blask zapłonął przed jego oczyma: ujrzał, że teraz osiągnął najwyższy stopień poświęcenia i prawdziwą litość biedaka.

Potem wszedł do zarośli i pograżył się w modlitwie... Bóg uczynił go nieruchomym. Wiatr pokrył go ziemią, trawa wyrosła na jego ciele; oczy wypłynęły mu z orbit, a dzikie ziela zakiełkowały w jego czaszce. Wyschnęły mięśnie jego rąk, wzniesionych ku niebu, były jak zeschnięte badyle, owinięte około martwych gałęzi. Tak król dostąpił wiecznego spoczynku.

LEON BLOY.



**PASTERKA.**

Całe miasteczko, trzysta wytrzeszczonych oczu, patrzyło na dwóch oficerów niemieckich, co podążali za latarnią przewodnika i kierowali się ku plebanii.

— A więc Prusacy, których w trwodze oczekiwano dopiero za dni kilka—już przybyli! Posłyszano ich zdala, wśród ciszy nocnej. Jakiś głos przerażony krzyknął: „Prusacy!”—a w kwadrans potem, na rozkaz *Halt!* szczęk karabinów, od którego szyby zadrzały, potwierdził złowrogą nowinę.

Żołdacy nie przedsiębrali żadnych kroków nieprzyjacielskich. Nie śpieszyli, jak zwykle, do łupu i grabieży. Nieruchomi, z bronią u nogi, tworzyli przy rogatce ciemną linię, odgradzeni od masy jeszcze ciemniejszej, z której dochodziły połyski stali, jakieś ciężkie i niewyraźne skargi.

Żaden „furyer śmierci”, jak mówił Kornel, nie występował naprzód, ku rozpaczcy rady miejskiej. Tylko oficer, który wyglądał na dowódcę, zsiadł z konia i, w towarzystwie innego oficera, kazał się zaprowadzić na plebanie.

Ksiądz Courtemanche był najstarszym proboszczem powiatu. Naśladując mimowiednie Heinego, o którym nawet nie słyszał, mawiał chętnie o sobie, iż jest pierwszym człowiekiem wieku, gdyż się urodził 1-go stycznia 1800 roku. Pretensje te zwalczał, jak się to zresztą zdarzyło i niemieckiemu poecie, pewien nauczyciel, wolteryanin, dowodząc mniej więcej słusznie, że jest on raczej jednym z ostatnich ludzi wieku ubiegłego.

Proboszcz uczciwy, bez próżnych ambicji, dokładał od lat trzydziestu wszelkich starań, aby pozostać na miejscu. Władza, dla której wygodną była taka budująca skromność kapłana, zapominała o nim starannie, pozostawiając go w biednej parafii, o którą nie ubiegał się żaden kolega. Spokojny człowieczyzna wzrastał w nią coraz głębiej, w miarę, jak tracił zęby i włosy.

Nie świętym był, naturalnie. Ale któż może być świętym w departamencie Sarty? Potomkowie wojowniczej rasy Cenomanów, niegdys zaborców Włoch pod Bellowezem, których dowódcy Cezara i sam Cezar z trudnością zwalczali, nie przeznaczeni są do przywdziania aureoli. Zapał religijny lub choćby wojskowy nie należy do ich siabości. A ksiądz Courtemanche pochodził właśnie z miasta Mans.

Bardzo zresztą godny kapłan, miłosierny i pokorny, czujny i pilny w pełnieniu obowiązków swego stanu, chociaż niełatwo zapalny.

Siedział w swym biednym domku i o ile nie czuwał nad swą trzódką, z najwyższą rozkoszą zajmował się zbieraniem i klasyfikowaniem kopalnych muszli trzeciego peryodu, pokładów gliniastego i mikowego, odłamków porfiru i blaszek feldspatu, nie omijając prostych kamyków i innych skromnych minerałów.

Cieszył się z tego powodu sławą poważnego geologa, która doszła do głównego miasta okręgu,

aż dostąpił zaszczytu, że inżynier dróg i mostów zasięgał u niego porady.

Niewinna mania nie wpływała przecież wcale na jego charakter. Raz sprzedał kilka rzadkich okazów ze swego zbioru, między innymi przepyszny kwarc fiołkowy, pospolicie zwany ametystem, z którego był niewymownie dumny, na odrestaurowanie zrujnowanego ołtarza Matki Boskiej. Było to poświęcenie większe, niż ofiara własnego życia, ale w pałacu biskupim uważano je za śmieszne.

\*

Gdy straszni cudzoziemcy nadeszli, była 10-ta wieczorem, 24 grudnia. Chociaż mocno zaniepokojony nieuniknionem nadejściem Prusaków, proboszcz przygotowywał się, czytając nabożeństwo nocne, do odprawienia Pasterki w kościele, wolnym jeszcze i całkowicie zabezpieczonym od najścia szkodników i narodowej obrony.

Ani przypuszczał, że spotka go wizyta tych dwóch panów. Gdy weszli, zmieszał się niezmiernie i okrył potem przerażenia. Gdyby chodziło nawet o zbawienie duszy, nie zdołałby słowa przemówić.

A więc nadeszła ta okropna chwila! A od miesiąca błagał Boga, aby odwrócił klęskę od jego parafii, aby mu jednocześnie udzielił łaski do zniesienia męczeństwa, jeżeli koniecznie ma wpaść w ręce zwyciężczych heretyków!

I oto nastąpiła konieczność spełnienia ofiary. Przebiegł szybko myślą wszelkie męki, zadawane przez sekciarzy, starając się wymierzyć na los szczęścia, ile potrzeba siły, aby je znieść wytrwale...

Szacunek dla prawdy zmusza mnie dodać, niestety, że w tem wielkiem udręczeniu biedny pasterz nie myślał wyłącznie o swej owczarni, lecz, że rzucał bolesne spojrzenia, pełne niewymownej rozpacz, na bogactwa geologiczne, nagromadzone wkoło siebie, a które niezawodnie staną się łupem barbarzyńców.

Obawa ta była tem więcej uzasadniona, że przybysze, nieruchomi i milczący, okazali zdumienie, wyglądające na okropną chciwość.

Zaskoczeni nagle w swej arogancji, spoglądali od proga na staruszkę o twarzy dziecięcej, Deukaliona duchownego, otoczonego taką masą kamieni, że wystarczyłyby na odnowienie rodu ludzkiego, zniszczonego przez potopy lub wojny.

Nareszcie starszy, wspaniały pułkownik piechoty bawarskiej, podszedł z wolna.

— Księżę proboszczu — przemówił czysto po francusku — mam nadzieję, że przebaczysz żołnierzom w pochodzie niedelikatność. Dowiedziałem się, że wasza wioska, leżąca opodal teatru wojny, nie jest zajęta, dotychczas przynajmniej, przez żadne wojsko. Doszedłem zatem do wniosku, że nie będzie żadnej przeszkody w odprawieniu Pasterki. Jestem katolikiem, jak i wielu moich żołnierzy. Niechaj ksiądz otworzy drzwi kościoła. Ci, co się w nim nie pomieszczą, będą patrzyli zdaleka, a będzie to wielką pociechą dla ludzi, skazanych na śmierć, może już niedaleką. Sądzę, księżę proboszczu, że nie macie prawa odmówić tej pociechy nawet nieprzyjaciołom Francji.

Niesłychane te wyrazy padły w duszę starego Courtemanche'a jak kula w skrzynię z prochem. Świat minerałów przestał nagle istnieć dla niego. Łagodny i nieśmiały kapłan rozgorzał jak wulkan.

— Co — zawołał — odprawić mszę, świętą mszę dla podpalaczy, dzieciobójców, dla ohydnych Prusa-

ków! Czy masz mnie za Judasza, mój panie? Jesteś dowódcą, otrzymałeś władzę krzywdzenia dzieci bożych, a jam starzec, najślabszy i najmizerniejszy z proboszczów dyecezyi, ale się ciebie nie boję, słyszysz pan? I mimo całego pańskiego wojska, powiem panu, że to wstyd żartować sobie z biednego kapłana. Wydaj mnie pan swoim katom, gotów jestem na wszystko. Zniosę najokrutniejsze męczarnie za łaską Zbawiciela, który był w gorszych okazjach i który potrafi umocnić swego sługę.

Rozgorączkowany, uniesiony zapałem ofiary, zrobił patetyczny gest, którym zwał całą masę minerałów, klasyfikowanych z taką miłością; kilka odłamków stoczyło się aż do nóg prokonsula.

Oficer, wciąż spokojny, usunął nogę i przemówił z niewzruszoną grzecznością:

— Księżę proboszczu, miałem zaszczyt powiedzieć panu, że jestem katolikiem. Powtarzam to raz jeszcze, *najzupetniej poważnie*.

Zapanowało milczenie. Proboszcz niemo poruszał ustami, spiorunowany tem wyznaniem.

Niemiec wyjął zegarek i mówił, nie zmieniając tonu:

— Jest wpół do 11-ej. Nie mam czasu na próżne słowa. Zechciej pan kazać przygotować nabożeństwo i przygotuj się sam do wystuchania spowiedzi tych z pomiędzy nas, którzy mówią po francusku, a chcą przyjąć dzisiejszej nocy Komunię. W razie odmowy, o pięć minut po 12-ej dam rozkaz spalania wsi...

Punktualnie o 12-iej proboszcz, przybrany w białe szaty, wstępował na stopnie ołtarza wśród glorijskich światła, wesołego dźwięku dzwonów, przy otwartych drzwiach.

Pierwszy raz może od czasu najścia Niemcy nie skrzywdzili nikogo. Przyozdobili nawet kościół, wydobywszy z tornistrów do czterech tysięcy świec, którym dziwiły się skromne mury kościołka. W dzwony walił także żołnierz, podobno syn dzwonnika z Frankonii.

Najdoskonalszy porządek i skupienie panowały wśród gromady tych krwawych wiernych. W pierwszym rzędzie stali oficerowie z obnażonymi szablami przy Stole Pańskim; dalej—dwie pierwsze kompanie, pod bronią, ustawione w szyku, wzdłuż nawy; reszta, jak okiem sięgnąć, na placu, stała również w ordynku.

Wpośrodku, na wązkim przejściu widniało kilka cieniów czarnych. To kobiety i dzieci, które przyszły drżące modlić się do małego Zbawiciela za Francję i za swego proboszcza.

Od czasu do czasu słychać było krótki rozkaz, a potem brzęk stali, ginący daleko w ciemności.

Nie śpiewano kolend. Nikt z mieszkańców nie miałby sił potemu, a pułkownik, na szczęście, zrobił tę łaskę, że nie śpiewano po niemiecku.

\* \* \*

Trzeba było ustąpić, trzeba było zezwolić na tę Pasterkę. Nieszczęśliwy ksiądz Courtemanche ścierpił gwałt okrutny, którego nie spodziewał się znieść bez utraty życia.

Nietylko miał obowiązek nie opuścić Jezusa w żłobie i zapobiedz wszelkim sposobem wytępieniu i zniszczeniu swych owieczek, ale jeszcze, i nade wszystko, nie miał prawa zapominać, że nawet Prusacy byli, również jak inni ludzie, odkupieni krwią tego Nowonarodzonego.

Sam Namiestnik Chrystusa nie mógłby go w tym wypadku potępić. Gdyby nawet wszystkie rany stu tysięcy poległych za ojczyznę stały się jednymi ustami, wołającymi o pomstę, niezmierny ten krzyk ku niebu nie zdołałby jeszcze zagłuszyć szeptu podpalacza lub zabójcy starców przy trybunale pokuty.

Wysłuchał więc spowiedzi dwudziestu kannibalów, kłęczących pośród ubóstwianych kropli krwi boskiej. Rozgrzeszył ich w imię Ojca i Syna i Ducha świętego; odpuścił im, dał błogosławieństwo, co rozwiązuje i oczyszcza, wszechmocne błogosławieństwo duchowne, przed którym czoła dzwiewia chorów anielskich. Wysłuchał wyznań rabunku, pożarów, rzezi, gwałtów, bluźnierstwa, świętokradztwa—wysłuchał wszystkiego i wszystko przebaczył w przeciągu godziny.

Nie koniec na tem. Trzeba było jeszcze poświęcić dla nich Chleb i Wino, dać im spożywać Ciało Boskie, straszliwe Ciało męczenników, które ich napełni nowymi siłami do nowych zbrodni.

Zdawało się pokornemu słudze ołtarza, że wszystko się wali w nim i około niego w tym świątym przybytku, gdy miał wymówić wobec tych okrutnych języków słowa Eucharystyi: „Niech Ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa strzeże duszy twojej”.

Rozdawszy to, co Kościół nazywa „Lekiem nieśmiertelności”, ledwie miał siłę wejść znów na stopnie ołtarza, dla dokończenia ostatnich modlitw. A tymczasem dzwony, frenetycznie kołysane, ciężkie dzwony Pasterki okrutnych zwycięzców, łkały wysoko ponad wsią, wśród bolesnej ciszy niebios.

ANATOL FRANCE.

~~~~~  
P O L A N O .

24 grudnia 1849 roku.

Włożyłem szlafrok i pantofle, a potem otarłem łzę, którą wicher nadbrzeżny zaćmił moje oczy. Na kominku w moim gabinecie płonął jasny ogień. Mróz umalował szyby liśćmi paproci i zasłonił mi widok na Sekwanę, na mosty i na Luwr Walezyszów.

Przysunąłem stolik i fotel do ognia, o ile Hamilkar raczył mi miejsca udzielić. Hamilkar zwinął się w kłębek, wsadził nos między łapy i w pobliżu żelaza kominowego wylegał się na poduszce. Równy oddech poruszał jego gęstem, lekkim futerkiem. Gdy się zbliżył, zerknął agatowemi źrenicami, zamknął zaraz ślepie i pomyślał: „A, to przyjaciel.”

— Hamilkarze! — zawołałem, wyciągając nogi— Hamilkarze, drzemiący królu państwa książkowego, cerberze nocny! Jak ów boski kot, co w Heliopolis walczył przeciw bezbożnym w noc wielkiej bitwy, tak ty bronisz od nędznych gryzoniów książki, które stary uczony nabywa z niezmordowaną gorliwością za skromne grosiwo. Śpijże tu sobie leniwie, jak sułtanka, w bibliotece, której strzegą twe cnoty wojen- nel Łączysz w swej osobie wygląd okrutnego wojownika tatarskiego z ocieżałym wdziękiem niewiasty Wschodu. Śpij, o bohaterski i rozkoszny Hamilkarze, aż nadejdzie godzina, gdy przy blasku księżycy my-szy zaczną pisać przed *Acta sanctorum* uczonych Bollandystów.

Początek przemowy widocznie podobał się Hamilkarowi, bo wydawał z gardła szmery, podobne do

szumu gotującej się wody. Ale gdy głos mój podniosłem, Hamilkar spuścił uszy i zmarszczył przegowaną skórę na czole na znak, że nie wypada tak deklamować.

— Ten mól książkowy — myślał widocznie Hamilkar — gada po próżnicy. Nasza gospodyni to zawsze mówi rozsądnie, bo albo woła do jedzenia, albo obiecuje bicie. Przynajmniej wiadomo, czego się trzymać. A ten stary wydaje dźwięki bez żadnego sensu.

Tak myślał Hamilkar. Pozostawiłem go w spokoju i otworzyłem książkę bardzo zajmującą, gdyż zawierała katalog manuskryptów. Nie znam lektury łatwiejszej, bardziej zajmującej i miłej, niż katalogi. Katalog, który odczytywałem, ułożony w roku 1824 przez Thompsona, bibliotekarza sir Tomasza Raleigha, zbyt jest, co prawda, suchym, nie przedstawia dokładności, jaką archiwiści mego pokolenia wprowadzili do prac dyplomatyki i paleografii. Każde domyślać się zawiele. Może dlatego, gdy go czytam, doznaję czegoś, co natura bardziej imaginacyjna nazwałaby marzeniem. Pograżyłem się właśnie słodko w nieuchwytnie myśli, gdy gospodyni moja oznajmiła, nieco zgryźliwym tonem, że chce mnie widzieć jakiś pan Coccoz.

Istotnie ktoś wsunął się za nią do biblioteki. Było to biedne, wynędzniałe czelczyisko, ubrane w cienką surducinę. Podszedł ku mnie, witając sze regiem ukłonów i uśmiezków. Był bardzo błądy, a choć młody i żwawy jeszcze, wyglądał na chorego. Przypominał mi zranioną wiewiórkę. Wydobyl z pod pachy zawiniątko z zielonego płótna i położył je na krześle, a potem rozwiązał cztery rogi i rozłożył pakę żółtych książeczek.

— Nie mam — mówił — honoru być znanym szanownemu panu. Jestem pośrednikiem księgarskim. Pracuję dla najpierwszych sklepów stolicy. Spodziewając się, że szanowny pan zechce mnie zaszczyścić

swem zaufaniem, ośmieliłem się przynieść nieco nowości.

Wielcy bogowie! cóż za nowości przynosi mi ten homunculus! Tom pierwszy: „Historia Tour de Nesle”, opiewająca miłostki Małgorzaty Burgundzkiej i kapitana Buridana.

— To książka historyczna — mówił z uśmiechem — historia prawdziwa.

— A więc bardzo nudna — odpowiedziałem — bo nie nudniejszego, jak historia, co nie kłamie. Ja sam piszę prawdziwe historie i jeżeli na nieszczęście zdarzy się panu nosić po domach jedną z tych historii, to sędzę, że pozostanie ona całe życie w zielonym zawiniątku, bo żadna przezorniejsza kucharka nie zechce jej kupić.

— Zapewne, łaskawy panie — odrzekł handlarz uprzejmie.

Podał mi z uśmiechem „Miłość Abelarda i Heloizy”, ale dałem mu do zrozumienia, że w moim wieku nie pora na miłosne historie.

Wciąż uśmiechnięty, zaproponował mi „Zasady gier towarzyskich”: pikiety, wista, *écarté*, bezika, warcab i szachów.

— Niestety — powiedziałem — jeżeli chcesz mi pan przypomnieć zasady bezika, to wskrzześ mego starego przyjaciela Bignana, z którym co wieczór grywałem w karty, zanim pięć akademij odprowadziło go do grobu; albo spraw, aby zniżył się do zabaw ludzkich poważny umysł Hamilkara, tu oto śpiącego, jest on bowiem jedynym towarzyszem moich wieczorów.

Uśmiech handlarza stał się niepewnym i pomieszczanym.

— Oto — ciągnął dalej — nowy zbiór rozrywek towarzyskich: facecye, zagadki, sposób zamiany róży czerwonej na białą.

Odpowiedziałem, że oddawna już zerwałem z różami, a co do facecycy, wystarczają mi te, które sam mimowoli popełniam w pracach naukowych.

Handlarz podał mi ostatnią książkę z ostatnim uśmiechem.

— „Klucz do snów”, z wytłómaczeniem wszelkich możliwych snów: o złocie, o złodzieju, o śmierci, o spadaniu z wieży... Dzieło kompletne!

Chwyciłem szczypcę i kręcąc niemi żywo, odpowiedziałem handlowemu gościowi:

— Dobrze, drogi panie, ale te sny, jak wszelkie inne, wesołe lub tragiczne, streszczają się zawsze w jednym: w śnie życia. Czy ta książeczka i do niego klucz podaje?

— Tak, proszę pana. Książka jest kompletna i wcale nie droga: frank i dwadzieścia pięć centymów.

Zawołałem gospodynię, bo nie ma dzwonka w mojem mieszkaniu.

— Tereso—mówiłem—pan Coccoz, którego zechcesz wyprowadzić, posiada książkę, co cię może zajmie: „Klucz do snów.” Ofiaruję ci ją z przyjemnością.

— Kto nie ma czasu marzyć na jawie, ten, proszę pana i we śnie snów nie miewa. Dzięki Bogu, dosyć mam roboty. Jak wieczór przyjdzie, mogę powiedzieć sprawiedliwie: „błogosław, Panie, memu spoczynkowi.” Nie mam snów ani stojąc, ani leżąc, i nie wyobrażam sobie, że pierzyna to dyabeł, jak się to zdarzyło mojej kuzynce. Zresztą, bez obrazy pańskiej, powiem, że mamy już dosyć tych książek. Nazbierał pan tysiące i głowę już traci, a mnie wystarza mój „Złoty Oltarzyk” i moja „Wzorowa kucharka.”

Mówiąc to, pomagała handlarzowi pakować książki w zielone płótno.

Uśmiech znikł z twarzy nieszczęsnego Coccoza. Wyciągnięte jego rysy miały wyraz tak bolesny, że przykro mi się zrobiło, iż szczydziłem z niego. Przywołałem go napowrót i prosiłem, ażeby pokazał „Historję Estelli i Nemorina”, bo bardzo lubię pasterkę i pasterki, więc jeżeli nie będzie się drożył, kupię tę historję.

— Odstąpię panu za franka dwadzieścia centymów—mówił Coccoz, promieniejąc radością.—To rzecz historyczna, będzie pan zadowolony. Teraz wiem, co pan lubi. Widzę, że pan jest znawca. Jutro przyniosę „Zbrodnie papieży.” Doskonałe dzieło. Przyniosę panu egzemplarz amatorski, z kolorowemi rycinami.

Prosiłem, ażeby się nie trudził. Kiedy nareszcie zielone zawiniątko razem z kolporterem zniknęło za drzwiami, zapytałem gospodyni, zkąd spadł na nas ten biedny człowieczek.

— Pewno, że spadł—odrzekła—bo mieszka z żoną na strychu.

— A więc ma żonę? Cudownie! Kobiety, do prawdy, są bardzo dziwne stworzenia. Żona jego musi być nieszczęśliwa kobiecina.

— Nie wiem, co ona tam za jedna, ale widzę, jak szweda się po schodach w wyplamionych jedwabnych sukniach i przewraca oczami. A sprawiedliwie, czy to wypada, ażeby takie suknie i takie świecące oczy miała kobieta, którą przyjęto z litości? Pozwolili im mieszkać na strychu, dopóki się dach naprawia, przez to, że on chory, a ona w poważnym stanie. Stróżka mówiła, że rano już miała bóle, a teraz leży. Potrzebne im było dziecko!

— Zapewne, moja Tereso, całkiem niepotrzebne. Ale natura zastawiła im sidła. Trzeba wzorowej przezorności, aby oszukać naturę. Nie potępiajmy, ale żałujmy ich raczej! Co zaś do jedwabnych sukien, każda kobieta je lubi. Córy Ewy uwielbiają stroje. Ty sama, Tereso, chociaż jesteś taka rozsądna, krzyczysz w niebogłosość, kiedy ci brak białego fartucha. Ale powiedz mi, czy ci ludzie mają wszystko, czego im potrzeba?

— A zkądże mogą mieć, proszę pana? Mówiła mi stróżka, że mąż był komisyjonerem od biżuterii i nie wiadomo dlaczego nie sprzedaje teraz zegarków. Widział pan, że nosi kalendarze. Nieuczciwe to rze-

miosło. Widzi mi się, że Bóg nie może błogosławić handlarzowi kalendarzy. A żona, między nami mówiąc, nie wygląda na nic porządnego. Ona tak potrafi wychować dziecko, jak ja grać na gitarze. Nie wiadomo, zkąd się tacy biorą.

— Zkądkolwiek się wzięli, Tereso, są przecież nieszczęśliwi i marzną na poddaszu.

— Ano prawda, dach podziurawiony, woda leje się strugami. Ani mebli, ani bielizny...

— To bardzo smutne, Tereso. Oto chrześcijanka, której gorzej się dzieje, niż temu poganinowi Hamlikarowi. Cóż ona powiada?

— Ja tam nie rozmawiam z nimi. Nie wiem, co ona mówi, ani co śpiewa. Ale wyśpiewuje po całych dniach. Słyszać ją ciągle na schodach.

— Dziecko Coccoza będzie mogło powiedzieć, jak owo jajko w zagadce: „Zrodziła mnie matka, śpiewając.” Coś podobnego zdarzyło się Henrykowi IV. Kiedy bole chwyciły Joannę d'Albert, zaczęła śpiewać starą bearneską kantyczkę. Nierozsądnym jest, zapewne, wydawać na świat biedaków. Ale dzieje się to codziennie, moja kochana Tereso, a filozofowie całego świata nie zmieniają tego głupiego zwyczaju. Pani Coccozowa poszła za przykładem innych i śpiewa sobie i doskonale postępuje! Zdaje mi się, moja droga, że gotujesz dziś rosół, prawda?

— Gotuje się już i właśnie czas go odszumować.

— Wyśmienicie! A więc, proszę cię, Tereso, zaczerpnij z garnka dobry talerz rosółu i zanieś go naszej górnej sąsiadce, pani Coccozowej.

Gdy gospodyni zabierała się do odejścia, dodałem:

— Zawołaj, Tereso, posługacza, każ mu wziąć z drwalni sporą wiązkę drzewa i zanieść Coccozom na poddasze. Niechaj zabierze porządne, duże, takie wigilijne polano <sup>1)</sup>. A jeżeli przyjdzie jeszcze raz ten

<sup>1)</sup> Mieszkańcy północnej Francji palą w wigilię Bożego Narodzenia największe, jakie znajdują w drwalni, polano. Popiołom tego drzewa przypisują cudowną moc.

człowieczek z księgarni, bądź łaskawa wyprosić go grzecznie za drzwi, razem z jego żółtymi książeczkami.

Wydawszy to egoistyczne rozporządzenie, godne starego kawalera, wziąłem się nanowo do czytania katalogu. Jakież było moje zdumienie, jakie gwałtowne wzruszenie, gdy spotkałem tam wzmiankę, którą tu drżącą ręką przepisuję:

„Złota legenda Jakóba Genueskiego (Jakóba Voraigine'a), przekład francuski in 4-o. Manuskrypt ten z czternastego wieku zawiera, oprócz dość kompletnego tłumaczenia sławnego dzieła Jakóba Voraigine'a:

1<sup>o</sup> Legendy św. Ferreota, Ferrutiona, Germana, Wincentego i Droctoveusza.

2<sup>o</sup> Poemat o cudownym grobie świętego pana Germana z Auxerre. Przekład legendy i poemat są dziełem pisarza Alexandra.—Wydanie na welinie. Zawiera wiele ozdobnych liter i dwie miniatury, wykonane starannie, ale uszkodzone: jedna przedstawia Oczyszczenie Najświętszej Panny, druga — koronację Prozerpiny.”

Co za odkrycie! Pot wystąpił mi na czoło, a oczy mgłą zasłży. Drżałem cały, ogień na mnie biły, a nie mogąc mówić, czułem potrzebę krzyczenia.

Co za skarb! Od lat czterdziestu badam Galię chrześcijańską, a mianowicie sławne opactwo Saint-Germain de-Pres, z którego wyszli królowie-mnisi, założyciele naszej dynastii narodowej. Otóż, pomimo nagannej niedokładności opisu, widocznym było, że manuskrypt Alexandra pochodzi z wielkiego opactwa. Wszystko przemawiało za tem: Legendy, dołączone przez tłumacza, odnosiły się wszystkie do pobożnej fundacji króla Childeberta. Szczególniej znamienneą była legenda o świętym Droctoveuszu, który był pierwszym opatem mego ukochanego opactwa. Poemat, wierszem francuskim, wprowadzał mnie w sam środek czcigodnej bazyliki, tego serca Galii chrześcijańskiej.

Już sama „Złota legenda” jest dziełem obszernem i pięknem. Jakób Voraigine, definitor zakonu św. Dominika i arcybiskup geneński, zebrał w XIII w. tradycje o świętych katolickich i ułożył zbiór tak bogaty, że w klasztorach i zamkach zawołano jednogłośnie: „To złota legenda!” Obfituje ona szczególnie w hagiografię rzymską. Ułożona przez mnicha włoskiego, opisuje z lubością doczesne państwo św. Piotra. Jakby poprzez zimną mgłę patrzy Voraigine na największych świętych Zachodu. To też tłómacze akwitańscy i sascy postarali się dodać do jego zbioru życiorysy swoich narodowych świętych.

Przeczytałem i zebrałem wiele manuskryptów „Złotej legendy.” Znam te, które opisał mój uczony kolega, Paweł Paris, w pięknym katalogu biblioteki królewskiej. Dwa mianowicie zwróciły moją uwagę. Jeden pochodzi z XIV wieku i zawiera tłómaczenie Jana Beleta; drugi, o stulecie młodszy, jest przekładem Jakóba Vignay. Oba stanowią część fundacyi Colberta i umieszczone zostały w spisach sławnej biblioteki przez bibliotekarza Baluze'a, którego imię wymawiam zawsze z odkrytą głową, bo nawet w wieku olbrzymów erudycy Baluze zadziwiał swą uczonością. Znam bardzo zajmujący kodeks Bigota; znam siedemdziesiąt cztery wydania drukowane, od najstarszego gotyku strasburskiego, który został zaczęty w r. 1471, a skończony w 1775. Żaden jednak z tych manuskryptów, żadne z tych wydań nie zawiera legend o świętych: Ferreolu, Ferrutionie, Germanie, Wincentym i Droctoveuszu, nie jest podpisane przez Alexandra i nie pochodzi z opactwa Saint-Germain-des-Prés. Wszystkie więc, w porównaniu z manuskrytem, opisanym przez Thompsona, są jak stoma w porównaniu do złota. Własnymi oczami widzę, dotykam własnymi palcami niezbitego dowodu istnienia tego dokumentu. Ale gdzież sam dokument? Sir Tomasz Raleigh zakończył życie nad brzegami jeziora Como, dokąd zawiózł swe szlachetne skarby. Gdzież

się podziały po śmierci tego wytwornego zbieracza? Dokąd zawędrował manuskrypt pisarza Alexandra?

— No, i pocóż—mówiłem sobie—po co dowiedziałem się, że ta szacowna książka istnieje, jeżeli nie mam jej nigdy posiadać, ani oglądać? Gdybym wiedział, że ją znajdę, poszedłbym do rozpalonego wnętrza Afryki lub w lody bieguna północnego. Ale gdzież jej szukać? Może zamknął ją w żelaznej szafie na trzy spusty jaki zazdrosny biblioman, albo gnije gdzie na strychu u jakiego nieuka. Cierpnę na myśl, że może jaka skrzętna gospodyni wydziera z niej kartki i nakrywa niemi słoiki z korniszonami.

*30 sierpnia 1850 roku.*

Dzień był tak upalny, że z trudem posuwałem się naprzód. Włóczyłem się pod murami na wybrzeżach Sekwany, oglądając sklepy ze starymi książkami, rycinami i meblami, które pociągały wzrok i przemawiały do duszy. Odczytałem zawiły wiersz jakiegoś poety, spojrzałem na wykwintną maskaradę Watteau, to znów zatrzymałem się przy starożytnych zbrojach. Chryste, co za ciężka przyłbica! Jakiż masywny pancerz! Czy to ubiór olbrzymów? Nie — to skorupa owadu. Ówczesni ludzie byli odziani, jak chrabąszcze; słabość ich kryła się wewnątrz. Dzisiaj przeciwnie, siła nasza jest wewnętrzną, a uzbrojona dusza zamieszkuje nędzne ciało.

Oto pastel damy z dawnych czasów. Twarz, ni-  
kła jak cień, uśmiecha się lekko, a rączka w przeczystej rękawiczce przytrzymuje na kolanach ubranego we wstążki pieska. Portret ów napełnia mi serce słodką melancholią. Niech szydzą ze mnie ci, co nie noszą w duszy na pół zatartego pastelu. Niby koń, czujący stajnię, przyspieszam kroku, bo dom już blisko. Ot i jestem przy ulu ludzkim, gdzie mam swą komórkę do wyrabiania zgorzkniałego nieco miodu erudycy. Wciążam się zwolna po schodach; je-

szcze kilka kroków i będę u siebie. Nagle, zgaduję raczej, niż widzę, jakąś szeleszczącą suknię. Zatrzymuję się i usuwam z drogi. Schodzi jakaś pani z odkrytą głową. Młoda jest i śpiewa, a oczy i zęby połyskują, bo śmieje się ustami i wzrokiem. Widocznie jakaś sąsiadka i znajoma. Na rękę trzyma śliczne niemowlę, chłopczyka całkiem nagiego, niby syna bogini; tylko na szyi nosi dzieciak medalik na srebrnym łańcuszku. Mały ssie palec i patrzy wielkimi oczkami na ten stary, a tak nowy dla niego świat. Matka spogląda na mnie tajemniczo i przebiegle. Stanęła, zdaje mi się, że zarumieniona i wyciąga ku mnie malca. Dzieciak ma śliczną fałdę przy piąstce, drugą na szyi, a od stóp do głowy rozkoszne doteczki w różowym ciele.

Matka chwali się z dumą:

— Prawda, panie, że ładnego mam chłopczyka?

Bierze jego rączkę, przykłada mu do buzi, a potem wyciąga ku mnie te różowe paluszki i mówi:

— Poślij panu buziaka.

I przytulając do siebie dziecko, zbiega zwinnie jak kotka i ginie w korytarzu, który, sądząc po zapachu, prowadzić musi do kuchni.

Wchodzę do siebie.

— Tereso, kto to być może ta młoda kobieta, którą spotkałem na schodach, bez kapelusza, ze ślicznym chłopczykiem na rękę?

Otrzymuję odpowiedź, że to pani Coccozowa.

Spoglądam na sufit, jakby szukając wyjaśnienia, więc Teresa przypomina mi małego kolportera, który w przeszłym roku przynosił kalendarze, kiedy mu żona leżała w połogu.

— A sam Coccoz?—spytałem.

Odpowiedziano mi, że już go nie zobaczę. Pochowano biedaka bez mojej wiedzy i bez wiedzy wielu innych osób, wkrótce po szczęśliwym rozwiązaniu pani Coccozowej. Wdowa pocieszyła się podobno, więc i ja uczyniłem to samo.

— A czy pani Coccozowa nie cierpi niedostatku na poddaszu?

— Nie warto, ażeby pan się zajmował takim stworzeniem — odrzekła moja gospodyni. — Chcieli ją wyrzucić ze strychu, bo dach już naprawili. Ale ona siedzi i nie dba ani o gospodarza, ani o rządce, ani o stróża. Chyba im wszystkim coś zadała. Porzuci ona strych, ale wyjedzie ztąd w karecie. Ja to panu mówię.

A po chwili dodała uroczyście:

— Ładna twarz—to kara boska!

— Dziękuję Bogu, że mnie nie dotknął taką karą. Weź-no moją laskę i kapelusze. Na odpoczynek przeczytam sobie parę kartek Mareri'ego. Czuję lisim węchem, że będziemy mieli na obiad doskonałą pulardę. Zajmij się tem szacownem pieczysem, moja droga, i oszczędzaj bliźnich, aby oni oszczędzali nas, to jest ciebie i twego starego pana.

Tak powiedziawszy, zacząłem badać obfite rozgałęzienie genealogiczne domu książęcego.

7 maja 1851 roku.

Spędziłem zimę według zasady mędrców: *in angello cum lubello* i oto jaskółki, wróciwszy na wybrzeże Sekwany, zastają mnie prawie takim samym, jakim mnie zostawiły. Kto mało żyje — niewiele się zmienia, a czyż to życie, spędzać dnie nad starymi tekstami?

A jednak ogarnia mnie dziś mocniej, niż kiedykolwiek, nieokreślony smutek, co płynie z życia. Mój organizm duchowy (nie śmiem wyznać samemu sobie) zamacił się od chwili, gdy się dowiedziałem o istnieniu manuskryptu Alexandra.

Dziwne to, a jednak prawdziwe, że dla kilku kartek starego pergaminu utraciłem spokój. Nędzarcz, nie mający żadnych pragnień, posiada skarby, bo jest panem samego siebie; pożądlivy bogacz jest nędznym niewolnikiem—jak ja. Najmilsze moje przyjemności—

rozmowa z człowiekiem subtelnym i umiarkowanym, lub obiad w towarzystwie przyjaciela, nie pozwalają mi zapomnieć o manuskrypcie, odkąd wiem, że istnieje. Braknie mi go w dzień i w nocy, braknie w radości i w smutku, braknie przy pracy i w czasie odpoczynku.

Przypominam sobie moje zachcianki dziecięce. Rozumiem teraz doskonale niezwyciężone pragnienia mego chłopięstwa.

Zwłaszcza pamiętam dokładnie lalkę, którą widziałem, mając lat osiem, w sklepie przy ulicy Sekwany. Dlaczego mi się podobała — nie wiem. Byłem przecież bardzo dumny z tego, że jestem chłopcem. Pogardzałem dziewczynkami i niecierpliwie oczekiwałem chwili (nadeszła, niestety!), kiedy będę miał białą, kołącą brodę. Bawiłem się zawsze w żołnierzy i karmiłem konika na biegunach roślinami, które matka hodowała na oknach. Przyznacie, że to były męskie zabawy. A przecież zachciało mi się lalki! Toć i Herkulesy miewają słabostki. Żebyż choć była ładna! Gdzie tam! Widzę ją, jak dziś: miała czerwona płamę na każdym policzku, krótkie, pogięte ramiona, obrzydliwe drewniane ręce i długie rozkraczone nogi. Suknię w kwiatki przypięto jej u pasa dwiema szpilkami. Widzę jeszcze duże czarne łebki tych szpilek. Jednym słowem ordynarna lalka z przedmieścia. Pamiętam dobrze, że chociaż byłem malcem, czułem, że brak jej wdzięku i szyku, że to pospolita, trzygroszowa lalka. Kochałem ją mimo to, a może właśnie dlatego. Ją tylko kochałem, jej tylko pragnąłem. Porzuciłem żołnierzy i bęben; nie karmiłem konia heliotropem i przetaczniakiem. Lalka była dla mnie wszystkim. Zdobywałem się na podstępny dziękę, aby skierować bonę, Wirginię, ku sklepikowi. Wlepiąłem nos w szybę, aż bona musiała mnie ciągnąć za rękę. „Panie Sylwestrze, późno już, mama się będzie gniewała.” Pan Sylwester kpił sobie wtedy z gniewów, a nawet z dyscypliny. Ale bona po-

rwiała go, jak piórko, i pan Sylwester ustąpił wobec siły. Potem, z wiekiem, popsuł się, bo ze strachu ustępuje. Ale wtedy nie lękał się niczego.

Byłem bardzo nieszczęśliwy. Niepojęty, niezwyciężony wstyd nie pozwalał mi odkryć matce przedmiotu mojej miłości. No i cierpiałem dalej. Przez kilka dni lalka tańczyła mi przed oczami, wpatrywała się we mnie, wyciągała do mnie ręce, nabierała w mojej wyobraźni życia, stawała się straszną i tajemniczą, a przez to droższą i pożądańszą. Nareszcie pewnego dnia, którego nigdy nie zapomnę, zaprowadziła mnie bona na śniadanie do wuja Wiktora, kapitana. Podziwiałem zawsze mego wuja, raz dlatego, że pod Waterloo wypalił ostatni nabój francuski, a potem, że przyrządzał na obiadach u rodziców doskonałe grzanki do sałaty. Bardzo mi się to podobało. Miałem dla niego wielki szacunek za surduty z szamerowaniem, a głównie dlatego, że gdy przychodził do nas, cały dom przewracał się do góry nogami. Do dziś dnia nie wiem, jak się to działo, że w towarzystwie dwudziestu nawet osób słychać i widać było tylko jego samego. Zdaje mi się, że mój drogi ojciec nie podzielał mego uwielbienia, bo wujaszek Wiktor zatrzymał go swoją fajką, walił z czułości po plecach i wyrzucał mu brak energii. Matka, wyrozumialsza dla rodzonego brata, doradzała mu niekiedy, aby mniej zaglądał do butelek. Ja nie zważałem na te wstręty i zarzuty i żywiłem dla wuja Wiktora gorący zapal. Z dumą więc wszedłem do jego mieszkanie. Śniadanie, zastawione już na stoliku u kominka, składało się z wędlin i słodyczy.

Kapitan okarmił mnie ciastkami i winem. Opowiadał długo o niesprawiedliwościach, jakich padł ofiarą. Żalił się głównie na Burbonów, a ponieważ nie raczył objaśnić, co to byli za jedni, wyobraziłem sobie, nie wiem czemu, że Burboni handlowali końmi pod Waterloo. Kapitan, dolewając ciągle wina i sobie i mnie, wyrzekał jeszcze na różnych smarkaczy,

niegodziwców i niezdarów, których nie znałem wcale, ale nienawidziłem ich serdecznie. O ile pamiętam, mówił coś przy deserze, że mój ojciec daje się wodzić za nos, ale nie jestem pewny, czy go zrozumiałem. Szumiało mi w głowie, a stolik tańczył przedemną.

Wuj włożył surdut z szamerowaniem, oraz wysoki kapeluszyk i wyszliśmy na ulicę. Nie poznałem jej zupełnie; zdawało mi się, że od wieków jej nie widziałem. Gdy jednak weszliśmy na ulicę Sekwany, przypomniała mi się lalka i wpadłem w niezwykle uniesienie. Głowa mi płonęła. Postanowiłem zdobyć się na odwagę. Przechodziliśmy około sklepu, gdzie właśnie stała za szybą lalka z czerwoną twarzą, w sukni w kwiatki i z długimi nogami.

— Wujaszku—powiedziałem z wysiłkiem—niech wujaszek kupi mi tę lalkę.

Czekałem z bijącym sercem.

— Kupować lalkę chłopcu? Do pioruna! — huknął wuj grzmiącym głosem. — Chcesz się shańbić? I to takiej Kaśki ci się zachciało? Winszuję ci, mój paniczku. Jeżeli zawsze będziesz miał takie upodobania — niewesołe czeka cię życie, a koledzy powiedzą, że porządny z ciebie niedołęga. Żebyś mnie poprosił o pałasz lub o fuzyę, tobym ci kupił, mój chłopcze, za ostatniego talara. Ale lalkę, do stu piorunów? Żeby cię shańbić? Nigdy w życiu! Gdybym zobaczył, że się bawisz taką obrzydliwą dziewczuchą, to wiedz, mój panie siostrzeńcze, że wyrzekłbym się ciebie raz na zawsze.

Tak mi się serce ścisnęło na te słowa, że jedynie duma, szatańska duma powstrzymała mnie od płaczu.

Wuj uspokoił się prędko i prawie znów o Burbonach, ale oburzenie jego tak mnie dotknęło, że poczułem niewymowny wstyd. Powziąłem mocne postanowienie. Obiecałem sobie, że się nie shańbię, wyrzekłem się stanowczo i raz na zawsze lalki o czerwonych policzkach.

Poznałem tego dnia, co to jest surowa rozkosz poświęcenia.

Jeżeli nawet prawdą jest, kapitanie, że za życia kłależ jak poganin, paliłeś jak komin i piłeś jak smok, niechże pamięć twoja będzie błogostawioną, nie tylko dlatego, że byłeś waleczny, ale że wszczepiłeś w swego młodziutkiego siostrzeńca poczucie bohaterstwa! Próżność i lenistwo robiły cię niezdolnym, drogi mój wuju, ale pod pięknym szamerowaniem biło dzielne serce. Nosiłeś, pamiętam, różę u surduta. Kwiat ten, który, jak wiem, zabierały panny sklepowe, kwiat o sercu szeroko rozwartem, był symbolem twej chwalebnej młodości. Nie pogardzałeś ani wódką, ani tytoniem, ale pogardzałeś życiem. Nie można było nauczyć się od ciebie, kapitanie, zdrowego sensu, ani grzeczności, ale dałeś mi wtedy, kiedy bona ucierała mi jeszcze nos, lekcję honoru i poświęcenia, której nie zapomnę nigdy.

Oddawna już spoczywa na cmentarzu Mont-Parnasse pod skromną płytą, noszącą napis:

TU LEŻY

ARYSTYDES-WIKTOR MALDENT

KAPITAŃ PIECHOTY, KAWALER LEGII  
HONOROWEJ.

Lecz nie taki nagrobek przeznaczałeś dla swych starych kości, co się tyle nawłoczyły po polach walki i miejscach rozkoszy. Znalezione w twych papierach gorzki i dumny napis, którego, mimo twej ostatniej woli, nie ośmielono się położyć na grobie:

TU LEŻY

ZBÓJ LOARSKI.

— Tereso, zaniesiemy jutro wieniec nieśmiertelników na grób Zbója Loarskiego.

Ale Teresy niema. Bo i zkadże miałyby się

znaleźć ze mną na Polach Elizejskich? Tam, na końcu alei, Łuk Tryumfalny, na którym wypisano imiona towarzyszków broni wuja Wiktora, zarysowuje na niebie swe olbrzymie kontury. Drzewa rozwijają w wiosennem słońcu pierwsze wątle i blade listki. Około mnie suną karety do Lasku Bulońskiego. Puściłem się bezwiednie aż na tę wielkoświatową aleję i stanąłem bez myśli przed straganem z piernikami i limonadą. Jakiś młodzieutki nędzarz, pokryty łachmanami, przez które przegląda się opierzchła skóra, pożera oczami wspaniałe przysmaki, nie dla niego upieczone. Zachciankę swą okazuje z bezwstydem prawdziwej niewinności. Okrąglami oczkami patrzy uparcie na ogromnego jenerała piernikowego, który ma nieco podobieństwa do wuja Wiktora. Kupuję go i podaję chłopcu, ale nie śmie wziąć podarku, bo, nauczony przedwczesnem doświadczeniem, nie wierzy w szczęście. Patrzy na mnie z miną, właściwą dużym psom, jakby chciał powiedzieć: „pan okrutny, że mnie tak zwodzi.”

— No, mały dudku—mówię zwykłym mi, szorstkim tonem—bierz, bierz i jedz, skoroś szczęśliwszy, niż ja byłem w twoim wieku, bo możesz zadowolić swoje życzenia bez hańby.

A ty, wuju Wiktorze, którego mężką twarz przypomniał mi jenerał piernikowy, nie opuszczaj mnie i pomóż mi zapomnieć o mojej nowej lalce. Jesteśmy wiecznie dziećmi, goniącemi nieustannie za nowymi zabawkami.

*Tego samego dnia.*

W dziwaczny jakiś sposób rodzina Coccozów łączy się w moim umyśle z pisarzem Alexandrem.

— Tereso — zawołałem, rzucając się na fotel— powiedz mi, proszę, czy mały Coccoz zdrów i czy ma już ząbki i podaj mi pantofle,

— Musi już mieć zęby, proszę pana, ale ich nie widziałam. Zaraz z wiosny i matka i dziecko zniknęły, a zostawili łachy i graty. Znaleziono na poddaszu trzydzieści osiem pustych słoików od pomady! To przechodzi ludzkie pojęcie. W ostatnich czasach przyjmowała dużo gości, a teraz z pewnością nie siedzi w klasztorze. Siostrzenica stróżki powiada, że ją spotkała na bulwarach w powozie. Mówiłam panu, że to się źle skończy.

— Moja Tereso, ta kobieta nie skończyła jeszcze ani źle, ani dobrze. Wstrzymaj się z sądem do końca jej życia. I nie gadaj za dużo ze stróżką. Zdaje mi się, że pani Coccozowa, którą raz tylko zresztą widziałem, bardzo kocha swoje dziecko. Miłość ta będzie jej policzona.

— Co prawda, to prawda, że małemu na niczem nie zbywało. Na całej ulicy nie było dziecka lepiej karmionego, czystszygo i ładniej ubranego. Zakładała mu codziennie świeży śliniaczek i śpiewała piosenki, a malec śmiał się głośno.

— Wiesz, Tereso, pewien poeta powiedział: „Dziecko, które nie widziało uśmiechu swej matki, nie jest godnem ani stołu bogów, ani łoża bogiń.”

*8 lipca 1852 roku.*

Dowiedziałem się, że zmieniają podłogę w kaplicy Najświętszej Panny w kościele Saint-Germain-des-Prés, poszedłem więc w nadziei, że znajdę jakieś napisy, odsłonięte przez robotników. Nie zawiodłem się. Architekt pokazał mi uprzejmie płytę, którą kazał oprzeć o ścianę. Ukłąłem, żeby obejrzeć napis, i półgłosem, w cieniu starej nawy, odczytałem słowa, od których serce żywiej mi zabiło: „Tu leży Aleksander, mnich tego kościoła, który kazał oprawić w srebro szcękę świętego Wincentego i świętego Amanda i nogi Niewiniątek, a który za życia był zawsze przezorny i odważny. Módlcie się za jego duszę.”

Ostrożnie startem chustką pył, pokrywający płytę. Miałem ochotę ją ucałować.

— To on, to ten sam Aleksander! — zawołałem, a echo mego głosu rozbiło się o sklepienia.

Wstyd mi było mego zapału wobec poważnego szwajcara, co się zbliżał zwolna, więc wymknąłem się śpiesznie.

— A więc to mój Aleksander! Nie ulega najmniejszej wątpliwości! Tłumacz „Złotej Legendy“, autor żywotów świętego Germana, Wincentego, Ferruela, Ferrutona i Droctoveusza był więc, jak słusznie przypuszczałem, mnichem opactwa Saint-Germain-des-Prés. I jaki porządny mnich, jaki pobożny i świątły! Kazał zrobić srebrną szczękę, srebrną głowę i nogi, aby nakryć szacowne szczątki niezniszczalną powłoką! Ale czy poznam kiedy jego dzieło? Czyż to odkrycie ma jeszcze bardziej żal mój powiększyć?

*20 sierpnia 1859 roku.*

„Ja, co się podobam niektórym ludziom, co do świadczam wszystkim; ja, co jestem szczęściem dla dobrych, postrachem na złych; ja, co stwarzam i niszczę błędy — pozwalam sobie rozwinąć me skrzydła. Nie narzekajcie, jeżeli pomknę szybkim lotem nad całymi latami.”

Któż to mówi? Mówi starzec, zbyt dobrze mi znany starzec — Czas. Szekspir, skończywszy trzeci akt „Zimowej Powieści“, zatrzymuje się, aby mała Perdita miała czas nabyć mądrości i piękności, a gdy znowu odstawia kurtynę, wzywa odwiecznego Kosarza, aby zdać sprawę widzom z długich dni, co zaciężyły nad głową zazdrosnego Leontesa.

Jak Szekspir w swojej komedii, zrobiłem w swym dzienniku długą przerwę i wzorem poetów wzywam Czas, aby wyjaśnił opuszczenie blisko lat dziesięciu. Istotnie dziesięć lat już nie skreśliłem ani słowa w tym zeszytcie, a biorąc znów pióro do ręki, nie mogę, niestety, przedstawić Perdity „kwitnącej wdzię-

kami”. Młodość i piękność są wiernymi towarzyszami poetów; nas zaś te piękne widziadła nawiedzają raz tylko na krótko. Nie umiemy ich zatrzymać. Gdyby, dzięki niepojętemu kaprynowi losu, cień jakiej Perdity zamierzył przelecieć przez moją głowę, pogniółby się tam haniebnie o stopy zbutwiałych pargaminów. Szczęśliwi poeci! Białe ich włosy nie odstraszały cudnych mar Heleny, Franciszki, Julii, Doroty! Ale sam nos Sylwestra Bonnarda zmusiłby do ucieczki gromadę wielkich kochanek. A przecież byłem i ja czuły na piękno, na tajemniczy wdzięk, jakim niepojęta natura obdarza istoty żyjące. Żywe posągi wprawiły mnie w dreszcz, co stwarza kochanków i poetów. A nie umiałem ani kochać, ani śpiewać. W duszy, zawalonej stosami starych tekstów, starych napisów, odnajduję, niby miniaturę na strychu, jasną twarzyczkę z oczami jak pierwiosniki... Waryujesz, mój stary Bonnardzie! Przeczytaj lepiej katalog, który ci przysłał dzisiaj księgarz z Florencji. Jest to katalog manuskryptów, obiecujący opis „wybitniejszych okazów, przechowanych u amatorów włoskich i sycylijskich”. Z tem ci bardziej do twarzy!

Czytam i nagle wydaję okrzyk. Hamilkar, który z wiekiem nabył oniesmielającej mnie powagi, spojrzął na mnie z wyrzutem, zdając się pytać, czy spokój istnieje na tym świecie, skoro on, stary, nie może go zażywać przy mnie, również starym.

W przystępie radości, jaką mi sprawia odkrycie, potrzebuję powiernika, zwracam się przeto do sceptycznego Hamilkara z wylewem szczęścia.

— Nie, Hamilkarze, nie — mówię — spokój nie jest udziałem tego świata, a kwietyzm, do którego wzdychasz, sprzeciwia się pracom życia. Skądże ci przyszło do głowy, że jesteśmy starzy? Posłuchaj, co ci przeczytam z tego katalogu i powiedz, czy to pora na spoczynek:

„Złota Legenda Jakóba Voraigine'a, przekład francuski z czternastego wieku mnicha Aleksandra”.

„Wspaniały manuskrypt, ozdobiony dwiema miniaturami, ślicznie wykonanymi i doskonale zachowanymi, a które przedświają: jedna Oczyszczenie Najświętszej Panny, druga — koronację Prozerpiny.

„Do „Złotej Legendy” dołączono „Podania o świętym Ferreolu, Ferrutione, Germanie i Droctoveuszu”; stronie XXVIII, oraz „Grób cudowny świętego pana Germana z Auxerre”, stronie XII.

„Szacowny ten manuskrypt, który stanowił część zbiorów sir Tomasza Raleigha, znajduje się w zbiorach Michała Anioła Polizzi w Girgenti.”

— Czy słyszysz, Hamilkarze? Manuskrypt Aleksandra jest w Sycylii, u Michała-Anioła Polizzi'ego! Boże, żeby ten człowiek kochał uczonych! Napiszę do niego.

Uczyliem to natychmiast. Prosiłem Polizzi'ego, aby mi przysłał manuskrypt Aleksandra i objaśniłem, z jakiego tytułu ośmielam się żądać tak wielkiej łaski. Oddawałem mu zarazem do rozporządzenia kilka niewydanych tekstów, będących w moim posiadaniu, a niepozabawionych interesu. Błagałem wręcz, aby mi raczył prędko odpowiedzieć, a pod nazwiskiem wypisałem wszystkie moje tytuły honorowe.

— Proszę pana! proszę pana! gdzie pan tak leci! — wołała przerażona Teresa, pędząc za mną po schodach z kapeluszem w rękę.

— Z listem na pocztę.

— Boże odpuść! Jak można wychodzić tak z gołą głową, niby waryat.

— Szalony jestem, Tereso. Ale któż nim nie jest? Podaj mi prędko kapelusz.

— A rękawiczki, a parasoll

Byłem już na dole, a ona jeszcze jęczała i narzekała.

*10 października 1859 roku.*

Oczekiwałem odpowiedzi Polizzi'ego z ciężką niecierpliwością. Nie mogłem usiedzieć na miejscu,

poruszałem się gwałtownie; z hałasem otwierałem i zamykałem książki. Raz zrzuciłem łokciem tom Morreriego. Hamilkar, zajęty lizaniem swej skóry, stanął nagle z łapą ponad uchem i spojrzął na mnie gniewnie. Takież to burzliwe życie miało go czekać pod moim dachem? Czyż nie było między nami miłczącej ugody, że będziemy wiedli żywot spokojny? Złamałem układ.

— Mój biedny towarzyszu — powiedziałem — ulegam gwałtownej namiętności, która mną miota i za nos mnie wodzi. Namiętności są wrogami spokoju, to prawda; ale bez nich nie byłoby ani przemysłu, ani sztuki na świecie. Wszyscy drzemaliby goli na śmietniskach, a ty, Hamilkarze, nie mógłbyś wylegiwać się po całych dniach na jedwabnej poduszce w państwie książek.

Nie mogłem dłużej wyklądać Hamilkarowi teorii namiętności, bo gospodyni weszła z listem. Datowany był z Neapolu i zawierał, co następuje:

*„Oczigodny Panie!*

„Posiadam rzeczywiście niezrównany manuskrypt „Złotej Legendy”, który nie uszedł bystrej uwagi Szanownego Pana. Nader ważne powody, nieodwołalnie i despotycznie zakazują mi rozstać się z nim choćby na jeden dzień, na jedną minutę. Ale z radością i z dumą przedstawię go Wielmożnemu Panu w moim skromnym domku w Girgenti, który pańska obecność ozdobi i prawdziwie zaszczyca. W niecierpliwiej nadziei pańskiego przybycia, ośmielam się podpisać Wielmożnego Pana Akademika pokornym i uniżonym sługą

*Michał-Anioł Polizzi,*

*kupiec win i archeolog w Grigenti.  
(Sycylia.)*

No, to jadę do Sycylii!

*Extremum hunc, Arethusa, mihi concede laborem!*

25 października 1859 rroku.

Powziąłem postanowienie i przygotowałem się do drogi. Pozostawało mi tylko zawiadomić gospodynię. Wyznaję, że wahałem się długo. Obawiałem się uwag, szyderstw, zarzutów i łez.

— To poczciwa dziewczyna — mówiłem sobie — przywiązana do mnie, więc zechce mnie zatrzymać; a Bogu wiadomo, że gdy czego chce, to nie brak jej ani słów, ani gestów, ani krzyków. Zawoła na pomoc stróża, frotera, sklepniczkę i jej synów; padną mi wszyscy do nóg, zaczną płakać, a będą tacy obrzydliwi, że ustąpię, aby ich tylko nie widzieć.

Takie to okropne obrazy, takie sny chorobliwe strach podsuwał mojej wyobraźni. Tak, strach, twórczy strach, jak mówi poeta, rodził mi w mózgu potwory. Bo muszę się przyznać, że boję się mojej gospodyni. Wiem, że jej wiadomo, jak jestem słaby i to mi odbiera wszelką odwagę do walki. Zawsze z tych walk wychodzę pokonany.

Trzeba jednak było oznajmić Teresie o moim wyjeździe. Weszła właśnie do biblioteki z naręczem drzewa do rozniecienia ognia na kominku, bo poranki bywają już chłodne. Spoglądałem na nią z boku, jak przykucnęła, wsunawszy głowę w komin. Nie wiem, skąd mi się wzięła odwaga, ale przestałem się wahać. Wstałem i przechadzając się po pokoju, zawołałem z zawadyactwem, właściwem tchórzom:

— Wiesz, Tereso, wyjeżdżam do Sycylii.

Oczekiwałem niespokojnie. Teresa nie odpowiedziała. Pograżona w kominie, nie okazywała żadnego wzruszenia. Dokładała papieru pod drzazgi i dmuchała.

Nareszcie ukazała twarz. Była tak spokojną, że aż mnie gniew porwał.

— Doprawdy — myślałem — ta stara panna jest bez serca. Słyszysz, że wyjeżdżam i nie zawoła nawet: „Achl!” Więc tak mało obchodzi ją stary pan?

— Dobrze — powiedziała nakoniec — ale proszę wrócić na szóstą, bo obiad się przestoi.

Neapol, 10 listopada 1859 r.

„Co tra calle vive, magne e lave a faccia.”

— Rozumiem, mój przyjacielu: za trzy centymy mogę się napić, najeść i umyć twarz tym kawałkiem kawona z twego sklepiku. Ale przesady Zachodu nie dozwolą mi zakosztować tej prostej rozkoszy. Jakże mógłbym ssać kawony, kiedy zaledwie trzymam się na nogach w takim tłumie. Co za jasna i gwarna noc na *Strada di Porto!* Góry owoców wnoszą się na straganach, oświetlonych różnokolorowymi lampkami. Na kuchenkach, stojących pod gołem niebem, szumi gotująca się woda i skwierczy smażenie. Zapach ryb i mięsiwa kręci mi w nosie i zmusza do kichania. Przy tej sposobności spostrzegam, że chustka zniknęła mi z kieszeni. Popycha mnie, unosi i obraca mną na wszystkie strony ten lud najweselszy, najgadatliwszy, najżywszy i najzręczniejszy, jaki można sobie wyobrazić. Przyglądam się wspaniałym włosom młodej kumoszki, aż ta popycha mnie nagle potężnym ramieniem i rzuca w objęcia jakiegoś pożeracza makaronu, który przyjmuje mnie z uśmiechem.

Jestem więc w Neapolu. Jak tu dojechałem z resztkami poniszczonych rzeczy — nie umiem powiedzieć dla tej prostej przyczyny, że sam nie wiem. Podróżowałem w ciągłym osłupieniu, a teraz, zdaje mi się, że wyglądam w tem jasnym mieście, niby sowa na słońcu. Nocy dzisiejszej było jeszcze gorzej! Chcąc badać na miejscu obyczaje ludowe, wyszedłem na *Strada di Porto*. Wokoło mnie ożywione gromady ludzi tłoczą się przed sklepami spożywczymi, a jak rozbitek bujam na tych żywych falach, co, nawet pochłaniając, pieszczą. Bo lud neapolitański, mimo swej żywości, ma w sobie coś dziwnie słodkiego i pieszczotliwego. Zdaje mi się, że ci ludzie nie potracają mnie, ale kołyszą w jednę i w drugą stronę, aż mnie uspią. Stąpając po lawowych płytach *Strady*, podziwiam nadzwyczajną żywość, z jaką tragarze i ry-

bacy chodzą, mówią, śpiewają, palą, kłóca się i całują zarazem. Żyją wszystkimi zmysłami odrazu i, jako nieświadomi mędry, mierzą swe pożądania krótkością życia. Zbliżyłem się do bardzo ucześnieczanego szynku i odczytałem na drzwiach taki czterowiersz w narzeczu neapolitańskim:

Amice, alliegre magnammo e bevimmo.  
Nfin che n'ce stace noglio a la lucerna:  
Chi sa s'a l'autro munno n'ce vedimmo?  
Chi sa s'â l'autro munno n'ce taverna?

(Jedźmy, pijmy wesoło druhowie,  
Dopóki w lampie oliwy stanie:  
Czy się w niebie spotkamy, kto wie?  
Kto wie, czy są tam karczmy tanie?)

Horacyusz dawał takie same rady przyjaciółom. Przyjąłeś je, Postumusie, usłuchałaś ich Leuconoe, piękna buntowniczo, co chciałaś poznać tajemnice przyszłości. Przyszłość ta jest obecnie przeszłością, dobrze nam znaną. Zaprawdę, niepotrzebnie dręczyłaś się taką drobnostką, a przyjaciel twój bardzo rozsądnie doradzał, abyś była spokojną i ciągnęła wino greckie. *Sapias, vina liques*. Piękna ziemia i czyste niebo również radzą używać spokojnych rozkoszy. Są jednak dusze, dręczone wzniosłem niezadowoleniem; — są to dusze najszlachetniejsze. I ty miałaś podobną, o Leuconoe! Wstąpiłem na schyłku życia do miasta, gdzie jaśniałaś pięknoscią i ze czcią pozdrawiam twój smętny cień. Dusze, podobne do twojej, w chrześcijaństwie stawały się świętymi, a cuda ich wypełniają „Złotą Legendę”. Przyjaciel twój, Horacy, zostawił mniej zaćne potomstwo; oto jeden z jego wnuków, w postaci karczmarza-poety, napętnia winem czarki pod swym epikurejskim znakiem.

A jednak życie oddaje słuszność przyjacielowi Flacousowi i jego filozofia jedynie zgadza się z biegiem rzeczy. Proszę spojrzeć na tego zucha, co zajada lody, oparty o winny szpaler i zapatrzony w gwiazdy. Nie schyliłby się nawet, żeby podnieść

stary rękopis, po który jadę z takim trudem. I zaprawdę, człowiek stworzony jest raczej po to, aby jadł lody, niż aby badał stare foliały.

Błąkałem się dalej wśród ludzi, którzy pili i śpiewali. Pary kochanek zjadały owoce, trzymając się wpół. Natura ludzka z gruntu złą być musi, bo ta wesołość innych zasmucała mnie głęboko. Tlum roztaczał z taką naiwnością rozkosz życia, że raził wstydlivość starego gryzmoły. Do rozpacz doprowadzało mnie zwłaszcza, że nie rozumiałem z dźwięków, które mnie otaczały. Było to poniżające dla filologa. Szedłem więc zadąsany, gdy nagle posłyszałem za sobą kilka słów i nastawiłem uszy.

— Ten staruszek musi być Francuzem. Przykro mi, że ma taką zakłopotaną minę. Porozmawiam z nim, dobrze?... Ma takie pocziwe, zgarbione plecy, prawda?

Słowa te wymówił po francusku głos kobiecy. Zrazu niebardzo było mi przyjemnie, że mnie nazwano staruszkciem. Alboż to starość — sześćdziesiąt dwa lata? Niedawno na moście sekwańskim kolega Perrot winzował mi szczerze, że tak młodo wyglądam, a on prawdopodobnie zna się lepiej na wieku, niż ta dzierlatka, co szczebioce o moich plecach. Zgarbione plecy!... Tak i mnie się coś zdawało, ale odkąd wiem, że tak samo myśli jakaś głupiutka osóbk — nie wierzę w to wcale. Nie odwrócę przecież głowy, aby zobaczyć, kto mówi, ale jestem pewny, że to ładna kobieta. Dlaczego? Bo mówi jak istota kapryśna, jak zepsute dziecko. Brzydkie potrafią tak samo kaprysić, jak ładne, ale ponieważ ich nie psujemy, ponieważ nie przebaczymy im wszystkiego, więc albo przestają kaprysić, albo kapryay ukrywają. Przeciwnie zaś ładne pozwalają sobie na wszelkie fantazyje. Taką jest moja sąsiadka. — W każdym razie wyraziła względem mnie przychylnie zamiary, należy się jej przeto wdzięczność.

Wszystkie te rozmyślenia trwały w moim umy-

słę mniej niż sekundę, a napisanie ich zabrało mi całą minutę dlatego, że jestem zły pisarz, jak zresztą każdy filolog. Skoro tylko głos zamilkł, odwróciłem się i ujrzałem ładną, bardzo żywą brunetkę.

— Zechce mi pani wybaczyć — rzekłem z ukłonem — niedyskrecję. Mimowoli usłyszałem, co pani mówiła. Chciałaś pani oddać przysługę biednemu starcowi i oddałaś ją: sam już dźwięk mowy francuskiej jest dla mnie przyjemnością, za którą pani dziękuje.

Ukłoniłem się znowu i chciałem odejść. Ale pośliznąłem się na skórcie kawona i byłbym z pewnością ucałował partenopeński grunt, gdyby piękna dama nie podtrzymała mnie ramieniem.

— Późno już — oznajmiła — może chciałby pan powrócić do hotelu, który pewno niedaleko jest od naszego. A może to ten sam?

— Nie wiem, która godzina, bo mi zegarek ukradziono; sądzą jednak, że czas już na spoczynek. Będzie mi bardzo przyjemnie wrócić do hotelu Geneueńskiego w towarzystwie uprzejmych rodaków.

Tu skłoniłem się znowu młodej damie i jej towarzyszkowi, który wyglądał jak łagodny i smutny kolos.

W drodze dowiedziałem się, między innymi, że byli to księżę i księżna T. i że podróżowali po świecie dla zbierania pudełek od zapalek.

Weszliśmy w ciasną uliczkę, oświetloną jedynie lampką przed statua Madonny. Powietrze było tak czyste i przezroczyste, że cień nawet miał jakąś niebiańską lekkość. Trudno było zbłądzić w tak jasną noc. Ale potem weszliśmy w korytarz, *sotto portico*, mówiąc po neapolitańsku, który szedł pod arkadami i balkonami tak wielkiej szerokości, że nie dochodził tam nawet błysk światła niebieskiego. Młoda nasza przewodniczka poprowadziła nas tamtędy, dowodząc, że droga jest krótsza; zdaje mi się jednak, że chciała pokazać, jak dobrze zna miasto. Wistocie trzeba

było dobrze znać miejscowość, aby się puścić w taki labirynt schodów i podziemi. Nikt też na świecie nie dał się prowadzić tak posłusznie, jak ja. Daute nie zdążył za Beatryczą z równą ufnością, jak ja za księżną T.

Dama widocznie upodobała sobie moje towarzystwo, bo zaproponowała, żebyśmy nazajutrz razem pojechali zwiedzić grootę *Pausilippe* i grób Wirgiliusza. Mówiła, że musiała mnie gdzieś widzieć, ale nie przypomina sobie, czy w Sztokholmie, czy w Kantonie. Jeżeli w Sztokholmie — to jestem zapewne znanym profesorem geologii; jeżeli w Kantonie — to będę kupcem korzennym, bardzo uprzejmym i usługowym. Z pewnością jednak widziałam gdzieś moje plecy.

— Proszę mi wybaczyć — dodała — ale ciągle z mężem podróżujemy. Zbieramy pudełka od zapalek i nudzimy się w każdym kraju inaczej. Możeby lepiej było nudzić się jednostajnie. Ale urzędzeni jesteśmy do podróży, byłaby cała historia, gdybyśmy gdzie zatrzymać się chcieli na dłużej. Mówię to, żeby się pan nie dziwił, iż mi się nieco pomąciło w głowie. Ale jak tylko pana zobaczyłam zdaleka, czułam, pamiętałam, że pana już widziałam. Ale gdzie? Więc naprawdę pan nie jest ani geologiem, ani kupcem?

— Nie, szanowna pani, nie jestem ani geologiem, ani kupcem, czego mocno żałuję, skoro pani chwali jednego i drugiego. Nie mam w sobie nic, coby panią zająć mogło. Całe życie spędziłem nad książkami, nigdy nie podróżowałem, co mogła pani spostrzedz po mojem zakłopotaniu. Jestem członkiem akademii.

— Członek akademii! To wspaniałe! Napisz mi pan cokolwiek w albumie. Czy zna pan chiński język? Bardzobym chciała, żeby pan co napisał po persku lub po chińsku. Zapoznam pana z moją przyjaciółką, miss Fergusson, która podróżuje, żeby oglądać wszystkich sławnych ludzi. Będzie zachwyconą.

Styszysz, mężu, pan jest członkiem akademii i całe życie spędził nad książkami!

Książkę kiwnął głową.

— Można zapewne nauczyć się czegoś z książek — mówiłem, zwracając się do księcia, aby go wciągnąć w rozmowę — ale podróże są daleko bardziej pouczające. Żałuję, że nie mogę, jak pan jeździć po świecie. Mieszkam od lat trzydziestu w tym samym domu i rzadko wychodzę.

— Trzydzieści lat w jednym domu, czyż to możliwe? — zawoła księżna.

— Tak jest, pani. Co prawda, stoi on na wybrzeżu Sekwany w najświetniejszym i najpiękniejszym miejscu. Z okna mego widać Tuilleries, Luwr, Nowy Most, wieże Notre Dame, Pałac Sprawiedliwości i wieżyczki Świętej Kaplicy. Wszystkie te głązy przemawiają do mnie, opowiadają mi historię św. Ludwika, Walezysów: Henryka IV i Ludwika XIV. Rozumiem je i kocham. Drobnny to kącik, ale czyż jest gdzie na świecie sławniejszy?

Znaleźliśmy się na placu, zwanym *largo*, oświetlonym łagodnymi blaskami nocy. Księżna patrzyła na mnie z niepokojem, a podniesione jej brwi dotykały prawie czarnych fryzowanych włosów.

— Gdzie pan mieszka? — spytała nagle.

— Na wybrzeżu Malaguais, proszę pani, a nazywam się Bonnard. Nazwisko moje mało jest znane, ale wystarcza mi, że pamiętają o niem przyjaciele.

Wyznanie to, tak małej doniosłości, zrobiło na księżnej nadzwyczajne wrażenie. Odwróciła się ode mnie i chwytając za rękę męża, zawołała:

— Spieszmy się, mój drogi. Jestem strasznie zmęczona, a ty idziesz tak powoli. Nigdy nie dojdziemy do domu. A pańska droga tędy.

Wskazała mi od niechcenia jakąś ciemną uliczkę, pociągnęła męża w kierunku przeciwnym i zawołała do mnie, nie odwracając głowy:

— Żegnam pana. Nie pojedziemy jutro do Pausilippe, ani pojutrze. Mam straszną, okropną migrenę. Doprawdy, mężu, jesteś nieznośny, tak idziesz powoli.

Zgłupiałem. Zastanawiałem się, czem mogłem ją zrazić. Zabłądziłem zupełnie i musiałem szukać drogi przez całą noc. Nie widać było ani jednej istoty ludzkiej, nie mogłem prosić o radę. W rozpaczę zapuściłem się w pierwszą lepszą uliczkę, czyli raczej zasadzkę. Wyglądała na to zupełnie, bo wkrótce zobaczyłem, że jacyś ludzie grożą sobie nożami. Mocniej jeszcze cięli się językami, a o ile mogłem zrozumieć, byli to zakochani. Wsunąłem się ostrożnie w inną uliczkę, a jegomości owi kłócili się dalej, zajęci własnymi sprawami i nie myśląc o sprawach moich. Błądziłem jeszcze czas jakiś, nareszcie zniechęcony, siadłem na ławce kamiennej i wyrzekałem wewnętrznie na kaprysy księżnej.

— Dzień dobry panu. Czy wraca pan z San-Carlo? Styszal pan *divę*? Tylko w Neapolu można taki śpiew usłyszeć.

Podniosłem głowę i ujrzałem mego gospodarza. Siedziałem naprzeciw hotelu, pod oknem mego pokoju.

*Monte-Allegro, 30 listopada 1859 r.*

Odpoczywałem z przewodnikami i ich mułami na drodze z Sciaccia do Girgenti, w oerberzy biednej wioszczy Monte-Allegro, której mieszkańcy, trawieni malaryą, drżą z zimna na słońcu. Ale są to potomkowie Greków, więc mimo wszystko weszli. Kilku uśmiechniętych weszło do oerberzy z ciekawością. Gdybym umiał opowiedzieć jaką bajkę, zapomnieliby o wszystkich cierpieniach życia. Mieli twarze inteligentne, a kobiety, choć zwiędłe i poczerńnięte, z wdziękiem nosiły długie, czarne płaszcze.

Widziałem przed sobą ruiny, pobielone przez wiatr morski i zupełnie nagie. Ponury smutek pu-

styni panuje na tej ziemi bezpłodnej, gdzie spękane łożo żywi zaledwie kilka odrapanych mimoz, kilka kaktusów i karłowatych palm. O kilkanaście kroków wzdłuż rowu szereg białych kamyków błyszczał jak kości ludzkie. Przewodnik powiedział mi, że to strumień.

Od dwóch tygodni bawiłem w Sycylii. Gdy wstąpiłem w zatokę Palermo, co leży pomiędzy dwiema potężnymi masami skał Pellegrino i Catalfano i wrzyna się w Żółtą Konchę, doznałem uczucia takiego podziwu, że postanowiłem zwiedzić tę wyspę, szlachetnymi wspomnieniami i piękną liniami pagórków przypominającą zasady sztuki greckiej. Stary pielgrzym pobierały w gotyckim Zachodzie, puściłem się w podróż po tej klasycznej ziemi i z pomocą przewodników wędrowałem od Palermo do Trapani, od Trapani do Selinonte, ztamtąd do Sciacca, a dziś zrana do Girgenti, gdzie mam nareszcie znaleźć manuskrypt Aleksandra. Wszystkie piękne rzeczy, które widziałem, tak żywo zostały mi w pamięci, że uważałem za zbyt ciężkie spisywać je szczegółowo. Poczóż psuć sobie podróż zbieraniem notatek? Szczęśliwi kochankowie nie opisują swego szczęścia.

Opanowany smętkiem teraźniejszości i poezją przeszłości, niosąc w duszy piękne wspomnienia, a w oczach cudne widoki, popijałam woberży Monte-Allegre ogniście wino; gdy ujrzałem nagle, że wchodzi do sali dwie osoby, w których, po chwili wahania, poznałem księcia i księżnę T.

Zobaczyłam teraz księżnę przy świetle i to przy jakim świetle! Kiedy się widzi słońce w Sycylii, rozumie się dopiero wyrażenie Sofoklesa: „O, święte światło... oko dnia złotego!” Księżna, ubrana w suknię z szarego płótna i duży kapelusz słomiany, wydała mi się ładną kobietką lat dwudziestu ośmiu. Oczy miała dziecięce, ale pełny podbródek zdradzał dojrzałość. Niema co mówić, bardzo miła osoba. Giętka i zmienna jak fala. Chwalić Boga, że nie je-

stem żeglarzem. W tej chwili była w złym humorze, który, o ile zrozumiałem, pochodził ztąd, że nie spotkali ani jednego rozbójnika.

— Takie już mamy szczęście! — mówiła, opuszczając rozpaczliwie ręce.

Zażądała szklanki wody z lodem, którą gospodarz podał jej z wdziękiem, przypominającym sceny pogrzebowych obiat, przedstawiane na wazach greckich.

Nie zbliżałem się do osoby, co mnie tak nagle porzuciła w Neapolu. Dostrzegła mnie jednak, a ze zmarszczenia brwi poznałem, że spotkanie to nie było jej na rękę.

Gdy wypita nieco wody — czy dlatego, że kaprys się zmienił, czy ulitowała się nad moją samotnością — podeszła prosto do mnie.

— Dzień dobry, panie Bonnard. Jak się pan miewa? Co za wypadek, że się spotykamy w tym okropnym kraju.

— Kraj ten, proszę pani, nie jest wcale okropnym. Jest to ziemia sławy. Piękno jest czemś tak wielkiem i wspaniałem, że całe wieki barbarzyństwa nie zdołają go zniszczyć; zawsze pozostaną cudne szczątki. Majestat starożytnej Cerery unosi się jeszcze ponad temi wyschłymi dolinami, a grecką muzyką, pod której natchnieniem wydawali boskie dźwięki Arethusa i Menal, śpiewa mi dotychczas na ogołocionej górze i w wyschniętym źródle. Tak, pani, kiedy nasza bezludna kula ziemską zacznie krążyć w przestrzeni, jak księżyc w postaci bladego trupa, ruiny Selinonte zachowają, nawet w śmierci powszechnej, ślady piękna. I wtedy, wtedy przynajmniej nie będzie płochych ust, któreby znieważały ich samotną wielkość.

Czułem dobrze, iż słowa moje przechodziły pojęcie ładnej, pustej główki, która mnie słuchała. Ale kto całe życie spędził nad książkami, nie umie zmieniać dowolnie tonu. Zresztą kontent byłem, że mogę dać nauczkę tej pani. Przyjęła ją z taką ule-

głością i z miną tak inteligentną, że dodałem z całą, na jaką mnie stać, dobroduszością:

— Co zaś do tego, czy wypadek spotkania mnie jest szczęśliwy lub niefortunny, muszę wprzód wiedzieć, czy nie jestem natrętnym. W Neapolu wyglądała pani na znudzoną nagle moją obecnością. Przyczynę niełaski muszę przypisać mojej niezajmującej osobie, gdyż miałem zaszczyt widzieć panią wtedy po raz pierwszy w życiu.

Słowa te napełniły ją niepojętą radością. Uśmiechnęła się czarująco i, podając mi rączkę, której dotknąłem ustami:

— Panie Bonnard—powiedziała prędko—proszę nie odmówić miejsca w moim powozie. W drodze będzie mi pan opowiadał o starożytności, a to mnie bardzo zajmuje.

— Moja droga—przemówił książe—zrobisz, jak zechcesz, ale pamiętaj, że powóz jest bardzo niewygodny i że możesz narazić pana Bonnarda na straszne zmęczenie.

Księżna wstrząsnęła głową, na znak, że nie wchodzi w takie szczegóły, i zdjęła kapelusz. Cień od czarnych włosów padał na jej oczy i mgłą je przesłaniał. Stała nieruchomo, a na twarzy jej odmalowało się rozmarzenie. Nagle rzuciła się na pomarańcze, które oberżysta przyniósł w koszu i wkładała jedną po drugiej w suknię, ułożoną w fartuch.

— To będzie na drogę—zawołała. — My także jadziemy do Girgenti. A wie pan po co? Opowiem panu. Mówiłam już, że mąż zbiera pudełka od zapalek. Kupiliśmy tysiąc trzysta w Marsylii, ale dowiedzieliśmy się, że w Girgenti jest fabryka pudełek. Podobno maleńka fabryka, która produkuje pudełka bardzo brzydkie, używane tylko w mieście i okolicy. Więc jedziemy po te pudełka. Próbował mąż zbierać różne rzeczy, ale interesują go tylko pudełka od zapalek. Ma już pięć tysięcy dwieście czternaście

rozmaitych okazów. Niektóre zdobyliśmy z wielkim trudem. Dowiedzieliśmy się naprzykład, że w Neapolu wyrabiali pudełka z podobiznami Mazziniego i Garibaldiego i że policja skonfiskowała klisze i uwięziła fabrykanta. Po długich usiłowaniach dostaliśmy nareszcie jedno takie pudełko za sto franków. Cena nie była wygórowana, ale zaskarżyli nas jako spiskowców. Zrewidowali nam rzeczy i pudełka nie znaleźli, bo je dobrze schowałam, ale znaleźli moje kosztowności i zabrali je wszystkie. Dotychczas ich nie oddają. Sprawa narobiła hałasu, mieli nas aresztować, ale król się wdał i kazał dać nam spokój. Co prawda, uważałam za głupstwo zbieranie pudełek od zapalek, ale gdy zobaczyłam, że naraża się z tego powodu wolność, a nawet życie, nabrałam i ja zamiłowania w tym kierunku. Teraz zbieram fanatycznie. Na przyszły rok pojedziemy do Szwecji dla dopełnienia naszego zbioru. Prawda, mężyku?

Uczuwałem (czyż potrzebuję o tem mówić?) niejaka sympatyę dla tych nieuleknionych zbieraczy. Wolałbym, żeby się zajmowali ruinami Agrygentu, lub poetycznemi tradycjami Eryxu. W każdym razie gromadzili kolekcję, należeli do bractwa, nie mogłem więc śmiać się z nich, nie szydząc poniekąd z samego siebie. Przytem księżna mówiła o swoich zbiorach z zabawną mieszaniną zapału i ironii.

Zabieraliśmy się do odjazdu, gdy z góry zeszło kilku ludzi, ukrywających strzelby pod ciemnymi płaszczami. Wyglądali na zawodowych bandytów, więc po ich odejściu opowiedziałem księciu, jakie na mnie wywarli wrażenie. Odpowiedział mi spokojnie, że jest tego samego zdania. Przewodnicy radzili nam zabrać z sobą żandarmów, ale księżna błagała, aby tego nie robić, bo jej zepsujemy całą podróż.

I, patrząc na mnie przekonywająco, dodała:

— Prawda, panie Bonnard, że niema w życiu nic przyjemniejszego nad wzruszenia?

— Zapewne, trzeba jednak porozumieć się co

do natury wzruszeń. Gdy je sprawia szlachetne wspomnienie lub piękny widok, są najpiękniejszymi w życiu; ale wzruszeń, spowodowanych przez groźbę niebezpieczeństwa, powinniśmy starannie unikać. Czy podobałoby się pani, gdyby o północy, w górach przyłożono pani do czoła lufę sztucea?

— O, nie!—zawołała.—Sztucea ośmieszyła operetka i byłoby prawdziwym nieszczęściem dla młodej kobiety zginąć od tak śmiesznej broni. Ale niech mi pan mówi o ostrzu noża, o białem, zimnem ostrzu, od którego dreszcz przechodzi po sercu.

Zadrżała, zamknęła oczy i głowę w tył odchyliła. Po chwili zaczęła znów:

— Jaki pan szczęśliwy! Pana wszystko zajmuje.

Obejrzała się i zobaczyła, że mąż rozmawia z oberżystą. Pochyliła się szybko i szepnęła:

— Widzi pan, my z mężem nudzimy się okropnie. Pozostają nam pudełka od zapalek. Ale i to nas znudzi. Kolekcya wkrótce będzie kompletna. A cóż potem robić będziemy?

— Ach, pani—rzekłem rozczulony moralną nędzą tej ładnej kobiety—gdybyś pani miała syna, wiedziałabyś, co robić. Miałabyś cel życia, a myśli byłoby poważniejsze i weselsze zarazem.

— Przecież mam syna. Mężczyzna już prawie, ma jedenaście lat, ale i on się nudzi. Tak, i mój Jerzyk się nudzi. To rozpaczliwe.

Znów spojrzała w stronę męża, który oglądał uprząż mułów i zapytała mnie, czy od dziesięciu lat nie się nie zmieniło na wybrzeżu Malaquais. Dodała, że nigdy tamtędy nie przechodzi, bo jej za daleko.

— Za daleko od Monte-Allegro?

— E, nie! od Pól Elizejskich, gdzie mamy dom. A potem szepnęła, jakby do siebie:

— Za daleko! Za daleko!—z wyrazem rozmazania, którego sobie wytłómaczyć nie umiałem. Nagle uśmiechnęła się i rzekła:

— Ja pana bardzo, bardzo kocham, panie Bonnard.

Muły były gotowe. Młoda pani zebrała pomańcze, które spadały jej z łona, powstała i, patrząc na mnie, wybuchnęła śmiechem.

— Jak jabym chciała widzieć pana w walce z bandytami! Mówiłby im pan takie nadzwyczajne rzeczy! Niech pan weźmie mój kapelusz i parasolkę, dobrze, panie Bonnard?

— Toż dopiero głowa! — mówiłem do siebie, idąc za nią. — Natura przez roztargnienie dała syna takiej waryatce.

*Girgenti tego samego dnia.*

Obejście jej raziło mnie. Zostawiłem ją w *let-tica*, a sam usiadłem w mojej. Takie powozy bez kół dźwigają dwa muły, jeden z przodu, drugi z tyłu. Podobne lektyki znane są od bardzo dawna. Widywałem je często na rysunkach francuskich z czternastego wieku. Nie przeczuwałem wtedy, że sam będę podróżował w takim wehikule. Niepodobna wszystkiego przewidzieć.

Przez trzy godziny muły poruszały dzwonekami i stąpały głośno po rozpalonym gruncie. Po obu stronach drogi widniał bezpłodny, potworny krajobraz afrykański.

W połowie drogi przystanęliśmy, aby dać odpoczynek mułom.

Księżna podeszła ku mnie, wzięła mnie pod rękę i pociągnęła o kilka kroków naprzód. Potem przemówiła głosem, którego nie używała jeszcze w rozmowie ze mną.

— Proszę nie myśleć, że jestem zła. Mój Jerzyk wie, że jestem dobrą matką.

Szliśmy chwilę w milczeniu. Gdy podniosła głowę, zobaczyłem, że płacze.

— Niech pani spojrzy — powiedziałem — na tę ziemię popekaną od pięciomiesięcznych upałów. Biała lilijka przebiła ją jednak.

I wskazałem łaską wąża łądygę, zakończoną kwiatem.

— Dusza pani — dorzuciłem — chociaż wyschła, wydaje także kwiaty. I dlatego nie sądzę, żebyś pani była złą kobietą.

— Owszem, owszem! — wołała z uporem dziecka. Jestem zła, ale wstydzę się pokazać to wobec pana, bo jesteś dobrym, bardzo dobrym.

— Tego pani nie może wiedzieć.

— Wiem, bo znam pana — odpowiedziała z uśmiechem.

I pobiegła do swojej lektyki.

*Girgenti, 30 listopada 1859 r.*

Nazajutrz obudziłem się w Girgenti u Gelliasa. Gellias był to bogaty obywatel starożytnego Agrygentu. Sławny był również z bogactw, jak z wielkiej wspaniałomyślności. Pozakładał w rodzinnym mieście bezpłatne oboże. Nie żyje już od tysiąca trzydziestu lat, a u ludów cywilizowanych niema i śladu bezpłatnej gościnności. Ale imię jego nosi hotel, w którym noc spędziłem.

Nowożytny Girgenti wznosi się na akropolu starożytnego Agrygentu. Domy wąskie i ściśnięte, a nad nimi panuje ponura katedra hiszpańska. Z okien moich widać ciągnący się ku morzu szereg białych, napoły zniszczonych świątyń. Tylko te ruiny mają cechę świeżości; wszystko dokoła wyschło. Woda i życie uciekło z Agrygentu. Woda, boska Nestis agrygentyńczyka Empedoklesa, tak jest niezbędną dla istot żyjących, że niema życia zdala od rzek i strumieni. Za to port Girgenti, leżący o trzy kilometry od miasta, prowadzi handel nader ożywiony. Więc to tu — mówiłem sobie — w tem mieście

ponurem, na tej stromej skale znajduje się manuskrypt Aleksandra! Poprosiłem, aby mi wskazano dom Michała-Anioła Polizziego i udałem się do niego.

Zastałem pana Polizziego w białej od stóp do głowy odzieży, zajętego smażeniem kiełbasy na patelni. Gdy mnie zobaczył, porzucił patelnię, wznosił ręce ku niebu i wydawał entuzjastyczne okrzyki. Był to człowiek bardzo małego wzrostu, a przyszcze, garbaty nos i wystający podbródek nadawały jego twarzy niezmierną wyrazistość.

Nazwał mnie ekscelencyą, zapewnił, że dzień dzisiejszy zapisze sobie na wieczną pamiątkę i prosił abym usiadł. Wielka izba, w której mnie przyjmował, była zarazem kuchnią, salonem, sypialnią, pracownią i piwnicą. Widać tam było piec, łóżko, płótna, stalugi, butelki, pęczki cebuli i wspaniały świecznik z kolorowego szkła. Spojrzałem na obrazy, wiszące na ścianach.

— Sztuka! sztuka! — wołał pan Polizzi, wznosząc ponownie ręce do góry — sztuka to — zaszczyt i pociecha! Jestem malarzem, ekscelencyo!

Pokazał mi świętego Franciszka. Obraz był niedokończony, ale to nie uczyniło krzywdy ani sztuce, ani religii. Musiałem oglądać inne jeszcze stare, niezłego stylu obrazy, które odrestaurował nieco za śmiało.

— Odnawiam także stare obrazy — powiedział. — O, ci mistrzowie starożytni! co za duszał co za geniusz!

— Więc naprawdę — pytałem — jesteś pan i malarzem i antykwaryuszem i kupcem win?

— Do usług waszej ekscelencyi! Mam właśnie teraz pewne *zucco*, którego każda kropla jest ognistą perłą. Dam spróbować waszej łaskawości.

— Szacuję mocno wina Sycylii — odparłem — ale nie dla flaszek przybyłem do pana, panie Polizzi.

— A więc dla obrazów? Pan amator? Nie-

zmiernie się cieszę, gdy mogę przyjmować amatorów malarstwa. Pokażę panu arcydzieło Monrealesego. Tak, ekscelencyo, arcydzieło! Adoracya pasterzy! Jest to perła sycylijskiej!

— Z przyjemnością obejrzę to arcydzieło. Mówmy jednak najpierw o tem, co mnie tu sprowadza

Żywe oczki Polizziego zatrzymały się na mnie ciekawie, a ja z niepokojem spostrzegałem, że ani się domyśla celu mej wizyty.

Zmieszany, okryty zimnym potem, wybąkałem:

— Przyjeżdżam umyślnie z Paryża, żeby zobaczyć manuskrypt *Złotej Legendy*. Pisałeś mi pan, że go posiadasz.

Wzniósł ręce do góry, otworzył szeroko usta i oczy i okazywał najwyższy zapał.

— A, manuskrypt *Złotej Legendy*! Ach, ekscelencyo, to perła, rubin, dyament! Dwie miniatury boskie! Co za słodycz. Kolory jakby żywcem porwane z płatków kwiatu, to miód dla oczu! Sycylijszyk nie namalowałby lepiej.

— Pokaż mi pan co prędzej — rzekłem, nie umiając ukrywać dłużej niepokojów i nadziei.

— Pokazać panu! — zawołał Polizzi. — O, gdybym mógł, ekscelencyo! Ale już nie mam, nie mam!

I zaczął szarpać się za włosy. Zdawało się, że wydrze wszystkie, ale przestał prędko i krzywdy sobie nie zrobił.

— Jakto? — zawołałem z gniewem. — Jakto? Sprowadzasz mnie pan aż z Paryża dla obejrzenia manuskryptu, a gdy przyjeżdżam, powiadasz, że go nie masz? To niegodziwe, mój panie! Postąpienie pana osądzą wszyscy uczeni ludzie.

Musiałem mieć minę wściekłego barana.

— To niegodziwość! niegodziwość! — powtarzałem, wyciągając drżącą rękę.

Wówczas Michał-Anioł Polizzi upadł na krzesło

w postawie konającego bohatera. Oczy mu nabrzmiały łzami, a włosy, zadarte przedtem do góry, opadły w nieładzie na czoło.

— Jestem ojcem, ekscelencyo, jestem ojcem! — wołał, składając ręce

I, łkając, opowiadał:

— Mój syn, Rafael, syn mojej biednej żony, którą opłakuje od lat piętnastu, chciał osiąść w Paryżu, Ekscelencyo. Wynajął sklep przy ulicy Lafitte i sprzedaje starożytności. Oddałem mu, co miałem najkosztowniejszego: najpiękniejsze majoliki, najlepsze fajanse z Urbino, obrazy mistrzów, ach, jakie obrazy, panie! Jeszcze teraz doznaję olśnienia, gdy je sobie wyobrażam. I wszystkie z podpisami! Oddałem mu także manuskrypt *Złotej Legendy*. Dałbym dla niego ciało i krew swoją. Jedyne syn! syn mojej świętej żony!

— Więc, kiedy ja, na zapewnienie pana jechałem aż do Sycylii po manuskrypt Alexandra — dzieło to było za szybą na ulicy Lafitte, o tysiąc pięćset kroków ode mnie!

— Tak, z pewnością, było tam — mówił już uspokojony Polizzi — i zapewne jest jeszcze, przynajmniej żyć tego ekscelencyi.

Wyjął z półki kartę i podał mi, mówiąc:

— Oto adres mego syna. Będę panu wdzięczny, jeżeli zechcesz udzielić go swoim znajomym. Fajanse, emalie, stare materye, obrazy; posiada całe komplety zabytków sztuki, a wszystko po umiarkowanej cenie i autentyczne, ręczę panu honorem. Niech pan pójdzie do niego, on panu pokaże manuskrypt *Złotej Legendy*. Dwie miniatury cudownej świeżości.

Wziąłem adres. Człowiek ten nadużywał mojej słabości, prosząc mnie jeszcze, żebym polecał jego syna.

Brałem już za klamkę, gdy Sycylijszyk chwycił mnie za rękę i z miną natehnioną zawołał:

— Ach, ekscelencyo, a nasze miasto. Tu się

urodził Empedokles, Empedokles, wielki człowiek, wielki obywatel! Co za śmiałość myśli! co za cnota! Jaka dusza! W porcie stoi posąg Empedoklesa. Przechodząc, zawsze skłaniam przed nim głowę. Kiedy syn mój, Rafael, odjeżdżał, żeby założyć sklep starożytności przy ulicy Lafitte w Paryżu, zaprowadziłem go do portu i u stóp Empedoklesa udzieliłem mu ojcowskiego błogosławieństwa. „Pomnij na Empedoklesa”, rzekłem. Ach, panie, nowego Empedoklesa trzeba naszej nieszczęśliwej ojczyźnie! Czy chcesz, ekscelencyo, żebym cię zaprowadził do jego posagu? Oprowadzę pana po mieście. Zwiedzimy ruiny. Pokażę panu świątynię Kastora i Polluksa, Jowisza Olimpijskiego, Junony, starą studnię, grób Therona i Złote wrota. Przewodnicy podróży, to wierutne osły, ale jeżeli pan chce, zrobimy razem poszukiwania i odkryjemy skarby. Posiadam umiejętność, dar poszukiwań, prawdziwy dar z nieba.

Nareszcie zdołałem się wyrwać. Wybiegł jeszcze za mną i powiedział mi do ucha:

— Ekscelencyo, oprowadzę pana po mieście. Pokażę panu Girgentynki. Co za rasa! co za typy! jakie formy! Sycyliki, panie, to typ starożytnej piękności!

— Idź pan do dyabła! — zawołałem oburzony i uciekłem na ulicę, zostawiając go w szlachetnym uniesieniu.

Kiedy mi już zniknął z oczu, upadłem na jakiś gład i ukrywszy twarz w rękach, rozmyślałem.

— Po to więc przyjechałem do Sycylii, ażeby usłyszeć takie propozycje? Polizzi jest łotrem, a jego syn—drugim; zmówili się, żeby mnie zrujnować. Jaki spiszek uknuli—nie mogę zrozumieć. A tymczasem, co za zmartwienie i upokorzenie!

Nagły wybuch śmiechu przerwał moje rozmyślanie. Podniosłem głowę i ujrzałem księżnę T. Wyprzedziła męża i biegła ku mnie, podnosząc w górę jakiś niewidzialny przedmiot.

Usiadła przy mnie i pokazała mi ze śmiechem obrzydliwe pudełko tekturowe, na którym była jakaś twarz pół niebieska, pół czerwona, mająca przedstawić Empedoklesa.

— Widzę — odpowiedziałem — ale natrętny Polizzi, do którego nie radzę państwu zachodzić, poróżnił mnie na całe życie z Empedoklesem, a i ten portret nie godzi mnie ze starożytnym filozofem.

— Zapewne, brzydkie to, ale rzadkie. Pudełek tych nie wywożą, trzeba je kupować na miejscu. Mój mąż ma jeszcze sześć w kieszeni. Wzięliśmy tyle na zamianę z innymi zbieraczami. Rozumie pan? O dziewiątej rano byliśmy już w fabryce. Nie tracimy czasu, jak pan uważa.

— Państwo nie—rzekłem tonem gorzkim—ale zato ja zupełnie napróżno czas straciłem.

Zrozumiałem wtedy, że księżna jest dobrą kobietą. Zasmuciła się.

— Biedny pan Bonnard—szepnęła.

I biorąc moją rękę, dodała:

— Proszę mi opowiedzieć swoje strapienia.

Długie moje opowiadanie musiało ją wzruszyć, bo zadawała mi mnóstwo szczegółowych pytań, które wziętem za dowód współczucia. Pytała o dokładny tytuł manuskryptu, o jego format, wygląd i wiek. Zażądała nakoniec adresu Rafaela Polizziego.

Dałem go, wypełniając w ten sposób (o, losiel!) życzenie niegodziwca Polizziego.

Czasem trudno się powstrzymać. Rozpocząłem znów lamenty i przekleństwa. Tym razem księżna parsknęła śmiechem.

— Z czego się pani śmieje?

— Bo jestem zła kobieta—odpowiedziała i uciekła, zostawiając mnie samotnego i zmieszanego.

*Paryż, 8 grudnia 1859 roku.*

Nierozpakowane jeszcze walizy stały w mojej jadalni. Siedziałem za stołem, zastawionym dobrmi

rzeczami, które Francya wyrabia dla smakoszków. Zajadałem pasztet z Chartres, zdolny sam przez się obudzić miłość ojczyzny. Przedemną stała Teresa, z rękoma założonemi na białym fartuchu i spoglądała na mnie dobrotliwie z pewną domieszką niepokoju i litości. Hamilkar tarł się o moje nogi, śliniąc się z radości.

Przyszedł mi na myśl wiersz starego poety:

Szezęśliwy, kto jak Ulysses, piękną odbył podróż.

...No, myślałem sobie, przejechałem się napróżno, wracam z pustemi rękami, ale jak Ulysses, piękną odbyłem podróż.

I poiknąwszy ostatni łyk kawy, kazałem Teresie podać laskę i kapelusz. Uczyniła to z nieufnością: bała się nowego odjazdu. Uspokoilem ją przecież, zalecając, żeby obiad był gotów na szóstą.

Już samo wałęsanie się po Paryżu, którego każdy dom, każdy kamień kocham i czezę, jest dla mnie wielką przyjemnością. A teraz miałem jeszcze cel przed sobą: szedłem prosto na ulicę Lafitte. Wkrótce ujrzałem sklep Rafaela Polizziego. Odznaczał się głównie wielką ilością starych obrazów, które, chociaż podpisane różnemi sławnemi imionami, przedstawiały wszystkie pewne rodzinne podobieństwo, z kąd można było powziąć mniemanie o wzruszającym pokrewieństwie geniuszów, gdyby to nie świadczyło raczej o sztuczkach pędzla pana Polizziego — ojca. Bogaty w podejrzone arcydzieła, sklep upiękuszony był różnemi drobiazgami, jako to: puginaty, dzbany, kufle, wyroby gliniane i mosiężne, oraz hiszpańsko arabskie patery o metalicznych blaskach.

Na portugalskim, skórzanym fotelu z herbami leżał psałterz Szymona Vostra, otwarty na stronicy, przedstawiającej wyobrażenie astrologii, a stary Witruiusz leżał na kredensie, okazując wspaniałe ryciny karyatydy. Pozorny ten nieład, ukrywający umie-

jętne zgrupowanie, przypadkowe niby rzucenie przedmiotów tak, aby się jak najlepiej przedstawiały, napelnitoby mnie nieufnością, ale wystarczyło mi przecież samo nazwisko Polizzich.

Pan Rafael, dusza tych wszystkich przedmiotów, przypadkowo zebranych i bezładnie rozrzuconych, wydał mi się młodzieńcem flegmatycznym, jak Anglik. Nie zdradzał bynajmniej talentów ojca do mimiki i deklamacyi.

Powiedziałem mu, co mnie sprowadza. Otworzył szafę, wyjął manuskrypt i położył go przedemną na stole.

W życiu nie odczułem podobnego wzruszenia, z wyjątkiem może kilku miesięcy w mojej młodości, których wspomnienie, choćbym żył lat sto, pozostanie do śmierci równie świeżem, jak wówczas.

Więc, doprawdy, mam przed sobą manuskrypt, opisany przez bibliotekarza sira Tomasza Raleigha, manuskrypt Alexandra! Więc doprawdy dotykam go własnemi rękoma! Dzieło Varaggia było znacznie skrócone, ale było mi to obojętnem. Nie brakowało w nim nieoszacowanych dodatków mnicha z Saint-Germain des-Prés, a to rzecz główna! Chciałem odczytać legendę o świętym Droctoweuszu i nie mogłem, bo wiersze maciły mi się w oczach, a w głowie szumiało, jak w młynie. Poznałem jednak, że rękopis miał niezawodne cechy autentyczności. Dwie miniatury: Oczyszczenie Najświętszej Panny i koronacya Prozerpiny były słabe w rysunku i jaskrawe w kolorycie. Mocno uszkodzone w 1824 roku, jak o tem świadczył katalog sira Tomasza, nabrały potem nowej świeżości. Cud ten nie dziwił mnie wcale. Co mi tam zresztą po miniaturach! Legendy i poemat Alexandra, to skarby dla mnie. Pożerałem je oczami.

Z udaną obojętnością spytałem pana Rafaela o cenę, modląc się w duszy, aby nie przewyższała moich oszczędności, moeno już nadszarpiętych kosztowną podróżą. Pan Polizzi odpowiedział, że nie

może rozporządzać tym przedmiotem, gdyż nie należy już do niego i ma być sprzedany z licytacji razem z innymi manuskryptami i inkunabułami.

Był to dla mnie cios okrutny. Starając się zapanować nad sobą, powiedziałem coś w tym rodzaju:

— Dziwi mnie to, co pan mówisz. Ojciec pański, którego właśnie widziałem w Girgenti, zapewniał mnie, że manuskrypt należy do pana. Nie sądzę, abyś pan chciał podać w wątpliwość słowa ojca.

— Rzeczywiście — odpowiedział z prostotą Rafael — manuskrypt, którego wartość nie uszła pańskiego oka, należał do mnie. Sprzedałem go jednak pewnemu amatorowi, którego nie wolno mi wymienić, a teraz z pewnych powodów zmuszony jest sprzedać swoje zbiory. Zaszczycony zaufaniem swego klienta, proszony byłem o ułożenie katalogu i kierowanie sprzedażą, która się odbędzie 24-go grudnia. Jeżeli pan zechce zostawić mi swój adres, będę miał zaszczyt posłać panu katalog, który się drukuje i w którym pan znajdzie „Złotą Legendę,” opisaną pod numerem czterdziestym drugim.

Dałem adres i wyszedłem.

Skromna powaga syna nie podobała mi się równie, jak bezwstydną gadatliwość ojca. Z głębi duszy nienawidziłem tych podłych handlarzy za ich przebiegi. Widocznym było, że się łotry z mówili i wymyślili licytację na to tylko, aby bezkarnie podnieść do niemożliwości cenę manuskryptu. Byłem w ich łapach. Najszlachetniejsze namiętności mają tę właściwość, że czynią nas zależnymi. Myśl ta była mi nieznośną; ale nie osłabiła chęci posiadania dzieła Alexandra. Kiedy tak rozmyślałem, usłyszałem przekleństwo jakiegoś woźnicy. I wtedy dopiero zrozumiałem, że do mnie są zwrócone, bo poczułem dysszel powozu pod mojami żebrami. Usunąłem się w porę, aby nie upaść i — kogoż zobaczyłem? Księżnę T., którą unosił powóz, zaprzężony w dwa piękne konie,

a powoził stangret, odziany we wschodnie futro. Nie spostrzegła mnie; śmiała się sama do siebie z wyrazem szczerości, który czynił ją bardzo młodą.

— Śmieje się — powiedziałem do samego siebie — bo pewno znalazła nowe pudełko do zapalek.

I przygębiony poszedłem przez most.

Wiecznie obojętna przyroda bez pośpiechu, ni opóźnienia doszła do 24 grudnia. Udałem się do domu licytacyjnego i zabrałem miejsce w sali pod nr. 4, u stóp biura, gdzie miał zasiadać taksator Boulauze i ekspert Polizzi. Sala zaczęła się powoli napełniać znanymi postaciami. Przywitałem się z kilku starymi księgarzami z wybrzeży, lecz przez ostrożność, właściwą w ważnych sprawach ludziom najbardziej nawet ufnym, nie mówiłem nikomu, po co przychodzę. Przeciwnie, wypytywałem się tych panów, co ich zajmuje na sprzedaży i usłyszałem z przyjemnością, że zupełnie co innego, niż mnie.

Sala zapełniła się już całkowicie kupcami i ciekawymi, a dopiero po półgodzinnem opóźnieniu nadszedł taksator z młotkiem kościanym w ręce, pisarz, ekspert z katalogiem i woźny z drewnianą miseczką na długim kijku. Zasiadli uroczyście na wzniesieniu. Posługacze uszykowali się poniżej biura. Urzędnik ogłosił, że sprzedaż się rozpoczyna i zapanowała chwilkowa cisza.

Sprzedawano najprzód po miernych cenach cały szereg banalnych *Preces pie* z miniaturami. Zbyteczna dodawać, że te miniatury były najzupełniej świeże.

Nizkie ceny oświeiliły handlarzy, więc wleźli między nas i stali się poufałymi. Potem nadeszli kołtarze, oczekujący na otwarcie innej sali i owerniackie dowcipy zagłuszały mowę woźnego.

Wspaniały kodeks „Wojny Żydów” rozbudził czujność. Długo targowano się o niego.

— Pięć tysięcy franków! pięć tysięcy! — wołał

woźny wśród milczenia kotlarzy, oniemiałych z podziwu.

Następnie wystawiono kilka antyfonarzy po niskich cenach. Jakaś gruba handlarka, z gołą głową, zachęcała się i nabyła jeden za trzydzieści franków.

Nakoniec ekspert Polizzi zapowiedział nr 42: „Złota Legenda,” manuskrypt francuski, niewydany. dwie wspaniałe miniatury—trzy tysiące franków.

— Trzy tysiące! trzy tysiące!—krzyczał woźny.

— Trzy tysiące!—powtórzył sucho taksator.

W głowie mi huczało i, jak przez mgłę, widziałem różne poważne postacie, które przypatrywały się manuskryptowi, obnoszonemu po sali.

— Trzy tysiące pięćdziesiąt!—zawołałem.

Sam się własnego głosu przeląknęłam i zmieszałem się tem, że wszyscy, jak mi się zdawało, patrzają na mnie.

— Trzy tysiące pięćdziesiąt na prawo!—mówił woźny, powtarzając moją cenę.

— Trzy tysiące sto!—zawołał Polizzi.

I zaczął się bohaterski bój między mną a ekspertem.

— Trzy tysiące pięćset!

— Sześćset!

— Siedemset!

— Cztery tysiące!

— Cztery tysiące pięćset!

Zamaszystym susem podskoczył Polizzi do sześciu tysięcy.

Sześć tysięcy... tyle jeszcze dać mogłem. Zarzykowałem więcej.

— Sześć tysięcy sto!—zawołałem.

Ale i ten wysiłek był próżny.

— Sześć tysięcy pięćset — odrzucił Polizzi spokojnie.

Spuściłem głowę i stałem z wyciągniętą wargą, nie śmiejąc nic odpowiedzieć woźnemu, który krzyczał:

— Sześć tysięcy pięćset, mówię! Nie pan tam na prawo, ale ja! Sześć tysięcy pięćset!

— Nikt nie daje więcej! — mówił taksator. — Sześć tysięcy pięćset! Słyszą wszyscy? Kto daje więcej?... Niema nabywcy ponad sześć tysięcy pięćset?

Uroczyste milczenie panowało w sali. Nagle usłyszałem, jak mi czaszka pękała. To młotek urzędnika, suchem uderzeniem, przysądzał nieodwołalnie Nr. 42 panu Polizziemu. Zaraz też pisarz zanotował ten fakt niezwykły na stemplowym papierze.

Byłem przybity, potrzebowałem samotności i spokoju. A jednak nie wstawałem z miejsca. Powoli zacząłem rozmyślać. Nadzieja jest uparta, więc miałem jeszcze nadzieję. Myślałem, że nowy nabywca „Złotej legendy” jest może inteligentnym i wyrozumiałym amatorem i że mi pozwoli zapoznać się z manuskryptem, a może i ogłosić drukiem najważniejsze ustępy. Kiedy więc sprzedaż się skończyła, zbliżyłem się do eksperta, schodzącego z estrady.

— Czy kupił pan Nr. 42 dla siebie, czy z obcego polecenia?—spytałem.

— Z polecenia. Miałem rozkaz nie wypuszczać go za żadną cenę.

— Czy może mi pan powiedzieć nazwisko nabywcy?

— Przykro mi, że nie mogę panu służyć, ale jest mi to surowo zabronione.

Odszedłem zrozpaczony.

31 grudnia 1859 roku.

— Tereso, nie słyszysz, że od kwadransa ktoś dzwoni do drzwi?

Teresa nie odpowiada. Plotkuje sobie u stróżki. Nie ulega wątpliwości. Tak to usługuje swemu staremu panu? Opuszcza mnie wieczorem, w dzień

świętego Sylwestra! Jeżeli odbiorę jakie serdeczne życzenia, to chyba z pod ziemi. Bo wszyscy, którzy mnie kochali, dawno pochowani. Doprawdy, nie wiem, co jeszcze robię na tym świecie. Znow dzwonią. Wstaję powoli, zgarbiony i idę otworzyć. I cóż spostrzegam u drzwi? Ani to zmokły Amor, ani ja nie jestem starym Anakreontem, ale mam przed sobą ślicznego, dziesięcioletniego chłopczyka. Przyszedł sam, podnosi głowę i patrzy na mnie. Rumieni się, ale zadarty nosek zdradza figlarza. Ma pióro u kapelusza i dużą, koronkową krezę. Ładny dzieciak! W obu rękach trzyma paczkę tak dużą prawie, jak on sam, i pyta, czy to ja jestem pan Sylwester Bonnard? Odpowiadam, że tak. Oddaje mi paczkę, mówi, że to od mamy i zbiega po schodach.

Schodzę parę stopni w dół, pochylam się przez poręcz i widzę kapelusik, kręcący się w spiralnej linii schodów, jak pióro na wietrze. Do widzenia, chłopczyku! Rad byłbym z nim pomówić. Ale cóżbym mu powiedział? Niedelikatnie jest wypytywać dziecko. Zresztą paczka objaśni mnie lepiej, niż mały posłaniec.

Duża jest, ale nie ciężka. Odwijam w bibliotece wstążki i papiery i znajduję... polano, ogromne, prawdziwie wigilijne polano, ale tak lekkie, jakby było wewnątrz puste. Dostrzegam, że składa się wistocie z dwóch części, złączonych haczykami i osadzonych na zawiasach. Odsuwam haczyki i zasypują mnie fiołki. Spadają na stół, na kolana, na dywan. Wpadają mi za kamizelkę, do rękawów. Cały pachnę od nich.

— Tereso! Tereso! przynieś-no wazon-y z wodą! Dostaliśmy fiołki, nie wiem z jakiego kraju, ani z czyjej ręki, ale kraj ten musi być wonny, a ręka czarująca. Czy nie słyszysz mnie, stara wrono?

Złożyłem fiołki na stole, gdzie utworzyły pachnący klomb. Ale jeszcze coś więcej jest w polanie... książka... manuskrypt. Oczom nie wierzę... ale

wątpić nie mogę... To „Złota legenda!” to manuskrypt Alexandra! Jest i „Oczyszczenie Najświętszej Panny” i „Koronacya Prozerpiny” i legenda o świętym Droctoweszu! Patrzę na tę relikwię, przesiąkniętą zapachem fiołków. Odwracam kartki, między które wcisnęły się ciemne kwiatki i przy legendzie o świętej Cecylii znajduję kartę z nazwiskiem „Księżna T.”

Księżna T.! Ty, co razem śmiałaś się i płakałaś tak ładnie pod pięknem niebem Agrygentu, ty, którą nudny starzec uważał za szaloną, dałaś mi teraz poznać swoje piękne, a rzadkie szaleństwo. Człowiek, którego taką napętniasz radością, pójdzie ucałować twoje ręce, oddając ci szacowny manuskrypt, którego dokładne i zbytkowne wydanie nauka i on tobie zawdzięczać będą.

W tej chwili weszła Teresa, niezmiernie wzburzona.

— Niech pan zgadnie—zawołała—kogo widziałam przed chwilą w herbowej karecie przed naszym domem?

— Księżnę T., naturalnie—odpowiedziałem.

— Nie znam takiej księżnej—mówiła gospodyni.—Kobieta, którą widziałam, ubrana jest jak królowa, a synek cały w koronkach. Jest to pani Coccozowa, ta, co pan jej posłał polano drzewa, kiedy leżała w połogu temu jednaście lat. Poznałam ją wybornie.

— Pani Coccozowa? — spytałem żywo. — Pani Coccozowa? wdowa po handlarzu kalendarzów?

— Ta sama, panie. Drzwiczki były otwarte, gdy jej chłopczyk przyszedł, nie wiem z kąd. Wcale się nie zmieniła. Zkądżeby tam takie kobiety miały się starzec? Nie mają przecież kłopotów. Coccozowa utyla tylko trochę. Kobieta, którą trzymano z litości, przyjechała teraz wystawić na pokaz aksamity i brylanty w herbowej karecie! Czy to nie wstyd?

— Tereso—zawołałem strasznym głosem—jeżeli ośmielisz się mówić o tej damie inaczej, niż z naj-

głębszym szacunkiem, pognuwamy się na zawsze. A teraz przynieś tu wazony sewrskie i powkładaj w nie fiołki. Nadadzą one państwu książek wdzięk, jakiego nigdy nie miewało.

Gdy Teresa poszła, wzdychając, po wazony, patrzyłem na rozsypane fiołki, które otaczały mnie jakby wonią pięknej duszy i pytałem siebie, jak mogłem nie poznać pani Coccozowej w księżnej T. Młoda wdowa, co mi niegdyś pokazywała dziecko na schodach, była tak nikłym widzeniem! Zawiniłem zresztą więcej, bo przeszedłem około duszy pięknej i czarującej, a nie domyślałem się jej wcale.

— Bonnardzie — powiedziałem sobie — umiesz odczytywać stare szpargały, ale nie potrafisz czytać w księdze życia. Księżna T., ta trzpiotka, którą posądzałeś o ptasią duszę, przez wdzięczność zadała sobie więcej trudu i okazała więcej dowcipu, niż ty, gdy oddawałeś usługę któremu z przyjaciół. Zapłaciła ci po królewsku za wigilijne polano.

— Tereso, byłeś sroką, a teraz stajesz się żółwiem.

Dawajże wody tym fiołkom.

RACHILDE.

PANTERA.

Klatka wyłoniła się zwolna z podziemi cyrku, wlokąc za sobą jak gdyby ciężki szmat nocy. Gdy w olśniewających blaskach, płynących z niebios, rozwarły się jej kraty, pantera, podniecona światłością, czując nagle pod stopami złoty kobierzec piasku, splamiony purpurą, doznała wrażenia, że jest bóstwem. Młoda, przybrana w królewską żałobę czarnych panter, miała na łapach, szczelnie skórą obciągniętych, płamy olbrzymich topazów. Patrzyła pogodnym i nieruchomym okiem zwierzęcia, które dotąd widziało jedynie własny swój obraz złowrogiej dziewczycy, odbity w zwierciadle wielkich rzek pustyni. Kocie jej łapy, potężne a wątłe na pozór, zdawały się stąpać po płatkach puchu. W trzech lekkich podskokach stanęła na środku cyrku. Siadłszy powolnym i falistym ruchem, zaczęła lizać brzuch, uważając wobec tego zajęcia wszelkie inne sprawy, nawet przyglądanie się łożu cesarza, za małoważne. Przy niej na wysokich, czerwonych od krwi krzyżach rozpięci byli chrześcianie. Martwy słoń zagradzał swą szarą masą, niby olbrzymim, zwalonym murem, kąś nieba niezwykle szafirowego. W oddali na stopniach, piętrzących się kołem, poruszały się zamglone, niejasne postacie, od których dochodziła uszu pantery dziwna wrzawa. Zwierzę, przestawszy się lizać, szukało przez chwilę, wietrząc pyskiem ziemię, powodu tych wściekłych, niewytłómaczonych okrzyków. Zimne i regularne oby-

czaje pantery uznawały pożytek morderstwa, ale nie pojmowała jeszcze związanej z niem historii. Dochodził ją głuchy ryk fali, smaganej wiatrem i jęk gałęzi, trzeszczących pod ciosami piorunów. Pantera zawyla szyderczo, jak gdyby na urągowisko burzom i, kierując się niewytłomaczonym kaprysem, powoli, aby pokazać ludziom łagodność prawdziwie dzikich zwierząt, zasiadła nad smakowitem cielskiem słońca i wzgardziła łupem ludzkim. Chleptała, dopóki się nie nasyciła, płyn dymiący, co ciekł z potwornego trupa, uraczyła się wielkim platem mięsa, a zakończywszy ucztę, rozłożyła się na resztkach biesiady i gładziła troskliwie swą lewą łapę. Przed dwoma dniami rozrzucono w ciemniach jej więzienia ohydne ścierwo, zaprawione kminkiem i posypane szafranem, co miało podnieść ogień, palący jej wnętrza. Subtelny węch pantery skłonił ją do powściągliwości; znała już dłuższe posty i pokusy więcej niebezpieczne. Chociaż jeszcze dziewicza, lecz wiele już wiedziała. Znała pragnienia, trawiące w skwarne godziny południowe w kraju, gdzie ptaki płaczą smutne i monotonne pieśni, prosząc o kropelkę dżdżu; znała trujące rośliny wielkich, nieprzebytych lasów, gdzie gady o rozszepionym języku, sączącym truciznę, nęciły ją magnetycznie. Znała nadmiernie wielkie słońca i śmieszne wychudzenie niektórych ofiar i trwożne wyczekiwanie pod złem wejrzeniem księżyca, rzucającego ją zdradziecko w pogoń za cieniem zwierzyny, cieniem, co wciąż dalej przed nią umykał. Zachowała z tych niefortunnych polowań instynkty biednego wojownika. Zadawała się skromną zdobyczą, aby nie doznać odurzenia w tym innym, błogostawionym świecie, gdzie drapieżników, w braci człowieka zamienionych, wzywano na uroczyste go-dy. Wybierała swą cząstkę bez zuchwalstwa, aby pokazać dobre wychowanie wobec apetytów mniej naturalnych, niż jej apetyt.

Obnażony chrześcijanin, uzbrojony na pośmiewi-

sko w batog z żelazną kulą na końcu, ukazał się z po za grzbietu słońca, popychany przez niewidzialnych katów. Pośliznął się o skrzępłą krew i upadł twarzą naprzód. Wrzaski tłumu postawiły go znów na nogi. Wziął do rąk batog i uśmiech wykrzywił jego blade wargi. Nie chciał użyć batoga nawet przeciw zwierzęciu, którego miał zdusić. Usiadł, utkwivszy w nieprzyjaciela swe jasne źrenice. Pantera, igrając łapą, zdawała się mówić: „Jestem zadowolona!” Wyciągnęła się, przymknawszy napół ślepią, poruszając ogonem, pełna niepewności. Był to spokojny pojedynek badawczych spojrzeń. Chrześcijanin, pomimo dobrowolnego zrzeczenia się życia, szukał sekretu poskromicielei drapieżników, najwz-szej mocy samej-li tylko woli nad bydłociem, a wol-ne zwierzę starało się zrozumieć rodzaj potęgi, przy-należnej gatunkowi ludzkiemu w stanie nagości.

Potężna wrzawa rozbudziła ich z tych szczegó-lnych dumań. Byli obecnie środkowym punktem krwa-wych igrzysk, a nikt zaprawdę nie pojmował takie-go sposobu zabawy. Nagły gniew wstrząsnął zebra-nym tłumem. Zawołano pogromców, konie popędziły galopem ku słońcowi. Wyciągnięto ciężką masę i po-stawiono naprzeciw siebie dwóch przeciwników, któ-rzy w dalszym ciągu badali się wzajemnie. Chrze-ścijanin odmawiał walki; pantera, nie będąc już głodną, nie miała ochoty go szarpać. Jeden z pogrom-ców rzucił się ku nim, grożąc szpadą. Wdzięcznym skokiem pantera uniknęła ciosu, chrześcijanin zaś za-chował swój melancholijny uśmiech. Wtedy ze wszys-kich stron rozległy się wycia. Rozszalała się burza. Pogromcy rzucili się na zwierzę, które kapryśnie sta-nęło po stronie słabego. Położono lance na ogniskach, przyniesiono strzały, oblepione słomą i płonąciami pió-rami; przywołano psy, wywiczzone w przygryzaniu pęcin bykom, napełniono naczynia wrzącą oliwą. Wszystkie nienawiści zwróciły się ku młodemu, obła-skawionemu stworzeniu, które, bijąc się leniwie ogonem

po bokach, zastanawiało się nad znaczeniem tych wojowniczych przygotowań. Pogromcy nie pozwolili panterze oprzytomnieć. Rzucili się na nią i rozpoczęła się beżładna gonitwa po torze, zawalonym konającymi. Pantera uciekała, zdjeta szalonym strachem. Och, to był chyba koniec świata! Ścigana i ścigający trącali się naprzemian o cielska zwierząt i trupy ludzi, przy olbrzymich wybuchach śmiechu tłumu, który rozochocił się wobec nowej komedii. Ze wszystkich stron ciskano na przerażone zwierzę kamienie, owoce, broń, patrycyuszki ciskały swe klejnoty, które z ponurym świstem przesywały powietrze, a cesarz, stojąc w swej łoży, kamienował panterę srebrnymi monetami. Pijana wściekłością, najeżona strzałami, otoczona płomieniami, pantera schroniła się w ostatnim, rozpaczliwym kroku do otwartej klatki. Zamknięto kratę i ciemna pułapka spuściła się znów do podziemi.

Upłynęły dnie i noce straszliwe. Pantera wyła chwilami ponuro, jakgdyby wzywała słońca, którego już ujrzeć nie miała. Skazano ją na wszelkie męki. Odmówiła walki ze strachu, nie mogła więc być już zaliczoną do rzędu zwierząt szlachetnych. Stróż uwięzionych drapieżników, bardzo stary niewolnik, bez litości dla jej paszczy, rozdartej ostrzem szabli, karmił ją resztkami, wyrzuconymi z sąsiednich klatek, ogryzionymi kośćmi, cuchnącą i przegniłą strawą. Skóra jej, zbrukana plugastwem, pokrywała się ranami. Młodzi szkodnicy, drwiąc z niej, przybili jej gwoździami ogon do ziemi: oderwała go z bolesnym wysiłkiem, zostawiając przy ziemi szmat skóry. Stary niewolnik naigrawał się nad nią, wyciągając jedną rękę, podczas gdy druga rzucała garść siarki i oslepiła zwierzę. Spalił jej całkowicie ucho skwierzącym ogniem pochodni. Pozbawiona powietrza i światła, z pyskiem pełnym krwawej śliny, pantera wyła żałośnie, szukając wyjścia, bijąc łbem o kratę, ryjąc ziemię pazurami. Tajemnicza jakaś choroba zaczy-

nała nurtować jej wnętrza. A że ryczała zbyt posępnie, rozkazano dać jej zdechnąć z głodu. Nie dla niej była śmierć szlachetna, nie dla niej zaduszenie, lub cios zadany piłą w serce. Zapomniano o niej całkowicie. Stary stróż przestał przechodzić koło jej klatki ze swą pochodnią. Zwierzę zrozumiało i zamilkło. Ległszy w pysznej dumie, otulając się w ogon poraniony, krzyżując zgangrenowane łapy, pantera przymknęła ogniste ślepią i, pogrążona w dumaniach, wyczekiwała końca... Ach te lasy, w których trzask się rozlega podczas burzy, te potężne słońca, te księżycy zabarwione, jak róże, ptaki za deszczem łkające, zieleń, świeże strumienie, łup młody i łatwy, z którego można wyssać życie w jednym tchnieniu, wielkie rzeki, świecące zwierciadłem wód, w których odbija się postać drapieżników w aureoli gwiazd... Powoli wizye przeszłości zalewały mózg konającej pantery. Ach, tam daleko, daleko, szczęście, swoboda! I w szale rozpacz przypominała sobie los obecny. Zobaczyła znów złociste pole, zbrukowany purpurą piasek areny, rozdartego słonia, zimny uśmiech chrześcijanina, wreszcie dzikie krzyki katów i męki, wszystkie męki! Oparłszy pysk na łapach, skrzyżowanych jak przeznaczenie, zdawała się spać... może już skończyła. Nagle rozproszyły się ciemności więzienia. Z góry zsunęła się kłapa i, schodząc z nieba do tego piekła, gdzie gniło potępione zwierzę, ukazała się biała, wiotka kobieca postać. W podniesionej pole tuniki niosta ówierć koźlęcia, na ramieniu dźwigała pełne wody naczynie. Pantera powstała. Biała postać była córką starego stróża drapieżników.

— Biedne zwierzę—rzekła, podczas gdy za nią krążyły światła jasne, jak jej włosy.—Żal mi ciebie. Nie umrzesz!

Otwierając łańcuch, pchnęła kratę, rzuciła na próg klatki ówierć koźlęcia i spokojnym ruchem postawiła lekko naczynie z wodą.

Wtedy pantera, oparłszy się na biodrach, które, szczęściem, zachowały swą sprężystość, stała się małą, maleńką, aby nie przerazić dziecka, śledziła za nim przez chwilę fosforycznymi ślepiami, głębokimi, jak otchłanie, jednym skokiem dosięgła jej gardła i zadusiła ją w oka mgnieniu.

VILLIERS DE L'ISLE - ADAM.

~~~~~  
**NIEBIAŃSKA PRZYGODA.**

O kilometr mniej więcej od Avignonu wznosiła się w r. 1860, niedaleko od zieleniejących wybrzeży górnej części Rodanu, odosobniona lepianka o nędznym wyglądzie. Oświetlało ją jedno okienko o okutych w żelazo okiennicach.

Mieszkał w niej oddawna stary izraelita, którego zwano Mosé. Nie był to zły żyd, mimo zagaśłej twarzy i sępiego czoła, które obciskał przylegającą szczelnie do łysiny mycką nieokreślonego koloru i materiału. Krzepki jeszcze i pełen temperamentu, byłby niemal zdolny doścignąć Ahaswera w kilku pospiesznych marszach. Nie często jednak wychodził, a przyjmował u siebie ludzi z niezwykle mi ostrożnościami. Nocą bronił dostępu do źle zamykających się drzwi domostwa całym systemem sideł i zasadek. Usłużny, szczególnie wobec współwyznawców, dawał chętnie jałmużnę wszystkim, a ściagał sędownie tylko bogatych, tym bowiem jedynie pożywał, uważając, iż wogóle lepiej zbierać złoto. Sceptyczne idee wieku nie tknęły pierwotnej wiary tego człowieka praktycznego i bogobojnego. Modlił się Mosé równie dobrze w przerwie pomiędzy jałmużnami, jak pomiędzy dwiema lichwiarskimi sprawami. Nie będąc pozbawionym niektórych dziwnych objawów serca, lubił wynagradzać najdrobniejsze usługi. Byłby może nawet wrażliwym na świąży krajobraz, który rozścielał się przed jego oknem, gdy badał okolicę swemi jasno szaremi oczami... Lecz pewien odległy przedmiot, stojący na małym wzniesieniu i wynoszący się nad przybrzeżnymi łakami w dole rzeki, psuł mu horyzont. Od tego przedmio-

tu odwracał wzrok z pewną przykrością (dość zresztą rozumiałą) i z nieprzepartą odrazą.

Były to stare bardzo trzy krzyże, które rządy obecne tolerowały jako rzadkość archeologiczną. Trzeba było wdzierać się po dwudziestu stopniach, by dotrzeć do wielkiego środkowego krzyża, dźwigającego już prawie przez wieki zatartego Chrystusa z czasów gotyku, pomiędzy dwoma mniejszemi krzyżami łotrów, Dyfasa i Gesmasa.

Pewnej nocy Mosé siedział przy oknie z opartymi na zydelku nogami, z okularami na nosie, z myką dotykającą prawie lampy, pochylony nad stolikiem, pokrytym brylantami, złotem, perłami i wartościowemi papierami i doprowadzał do porządku rachunki w zapyłonej księdze.

Zasiedział się bardzo późno. Praca, której się oddawał, pochłoneła tak dalece wszystkie siły jego ducha, że uszy, głuche na próżne głosy natury, pozostały przez długie godziny zamknięte na... pewne krzyki dalekie, nieustające; rozrzucone w przestrzeni, krzyki przeraźliwe, które przez cały wieczór przebiegały ciszę i ciemnice. Obecnie olbrzymi księżyc krąży po niebieskich przestworzach i nie słychać już żadnych odgłosów.

— Trzy miliony! — wykrzyknął Mosé, stawiając ostatnią cyfrę w ogólnej sumie.

Nagle poczuł w nogach wrażenie czegoś lodowatego. Odpychając zydel powstał szybko.

Okropna rzecz! Jego chude nogi kapały się w wodzie, która zalała cały pokój. Rozszzerzone oczy starca, błędząc przez okno po przestrzeni, dojrzały olbrzymi krąg wody, zalewającej nizkie równiny i wioski. Był to wylew nagły, wzmagający się, straszliwy wylew Rodanu.

— Boże Abrahama! — wyszeptał Mosé.

Nie tracąc, mimo ogromnego przerażenia, chwili czasu, zrzucił ubranie, oprócz połatanych spodni, zdjął buty; najdroższe rzeczy ze stołu: brylanty i papiery napchał beładnie do małego skórzanego worka,

który zawiesił na szyi, sądząc, że gdy katastrofa minie, potrafi odnaleźć swe złoto, zagrzebane pod ruinami chałupki. Plusk! plusk! przebiegł izbę, by chwycić leżący na starej skrzyni zwój pieniędzy papierowych, zlepionych już i zmoczonych. Poczem wszedł na poręcz okna, wyrzekł potrzykroć hebrajski wyraz „kadosz,” co znaczy „święty” i rzucił się do wody, wiedząc, że dobrze pływa i oddając się na łaskę swego Boga.

W oddali niewiadać żadnej łodzi! Gdzie uciekać? Starął się kierować w stronę Avignonu, lecz woda powiększała teraz odległość—było zresztą za daleko. Gdzie odpocząć? gdzie stanąć na twardym gruncie? Ach! jedynym jasnym punktem był tam, na wzniesieniu krzyż, którego stopnie znikwały już pod kłębiącemi się falami i naporem wód wściekłych.

— Szukać przytułku pod tym wizerunkiem? Nigdy!

Stary żyd był twardym w swych wierzeniach i chociaż niebezpieczeństwo nagliło, chociaż poglądy współczesne i wynikające z nich układy z własnym sumieniem nie były nieznane smutnemu poszukiwaczowi arki, przejmowała go wstrętem myśl, że miałby zawdzięczać choćby swe ziemskie ocalenie... „temu, co było tam.”

Nagle przeszła mu przez głowę uwaga złowieszcza, lecz przebiegła:

— Zapomniałem—rzekł zadyszany (a woda mu ciekła z dwóch końców brody), zapomniałem, że przecież jest tam ten biedny „zły łotr.” Nie widzę nic niewłaściwego w szukaniu schronienia u poczciwego Gesmasa, zanim mnie ocala.

Uspokoiwszy tak swe skrupuły, skierował się ku krzyżom, płynąc energicznie po przez rozrukane fale przy pięknym świetle pełni księżycowej.

Po upływie kwadransu ukazały się żydowi, na pół już zeszywniałemu z zimna, o sto metrów odległości, olbrzymie trzy krzyże.

Gdy tak patrzył zadyszany i starał się rozpoznać ów krzyż po lewej stronie, któremu dał pierwszeństwo—dwa boczne krzyże, słabsze od środkowe-

go, zatrzeszczały pod naporem nurtu rzeki, spróchniałe pnie osunęły się i krzyże legły w tył, kładąc się cicho na fale, jakby w pokłonie przerażenia.

Mosé osłupiał na ten widok. Omal nie utonął. Podwakroć wodę wypluwał.

Teraz wielki krzyż tylko, *spes unica*, rysował znak najwyższy na tajemniczym tle firmamentu i obwieszczał Ukoronowanego cierniem, przybitego gwoździami, z rozpiętymi ramionami, z zamkniętymi oczami.

Starzec, dusząc się i omdlewając, kierowany już tylko instynktem tonących, zdecydował się, pomimo wszystko, popłynąć ku najwyższemu symbolowi. Myśl o ocaleniu złota potęgowała ostatnie siły.

Gdy wyzwolony z topieli przybył do stóp krzyża, poddał się konieczności — ach! bardzo niechętnie (pośpieszmy to dodać na jego pochwałę) i, odchyłając głowę możliwie najdalej, chwycił i objął rękami drzewo bezdennej Głębi, drzewo, które swą podstawą przygniata całą mądrość ludzką i dzieli Nieskończoność na cztery nieuniknione drogi.

Biedny bogacz znalazł grunt pod nogami. Woda przybierała, zalewając go po pas. Naokoło roztaczały się głuche potopowe przestworza.

— O, tam widać żagiell łódka!

Zaczął krzyczeć. Ujrzano go i zawrócono.

W tejże chwili przyplływ wody (jakaś słuza przerwała się prawdopodobnie w ciemności) podniosł Moségo ciężką falą do Rany w boku. Było to tak straszne i nagłe, że zdążył zaledwie objąć ramionami krzyż i przylgnąć ciałem do wizerunku Odkupiciela! Zawisnął tak z czołem w tył odrzuconem, ściągnął krzaczaste brwi nad przeszywającymi oczami, patrzącymi zukosa, podczas gdy zwoje ostro zakończonej brody drgały wysunięte naprzód. Stary izraelita, spleciony z Tym, który przebacza, patrzył bokiem na swego „zbawcę.”

— Trzymaj się mocno! przybywamy! — wołały głosy już wyraźne.

— Nareszcie!... — zamruczał Mosé, któremu odmawiały już służby zdrewniałe mięśnie. — Oto i wyświadczył mi usługę ktoś, od kogo jej się nie spodziewałem! Nie chcę być niczem obowiązany nikomu, słuszna więc, abym go wynagrodził... tak, jakbym wynagrodził żywą istotę... Dajmy mu więc to, co dałbym... człowiekowi.

I podczas gdy zbliżała się łódka, Mosé ze zwykłą swą gorliwością w załatwianiu zobowiązań, zaczął szukać w kieszeni i znalazł sztukę złota, którą wsunął poważnie i godnie pomiędzy dwa palce prawej ręki, zagięte nad gwoździem.

— Jesteśmy skwitowani — szepnął, padając omdlały prawie w objęcia marynarzy.

Trzymał się mocno, podniecony obawą utraty swego woreczka, pokąd nie przybił do lądu w Avignonie. Odzyskał siły w ciepłym łóżku zajazdu. W miesiąc potem odnalazł złoto pod ruinami swego dawnego domostwa i osiedlił się w tem mieście. Tam też zgasł w setnym roku życia.

W grudniu tegoż roku zdarzyło się, iż bogaci mieszczenie z Vaucluse zwrócili uwagę na Eufrazyę, młodziczkę, czarującą sierotę. Zbici z tropu przez jej niewytlómaczony opór, postanowili w jej własnym interesie zmusić ją do ustępstwa głodem. Dzięki ich zachodom, wydalono dziewczynę wkrótce z pracowni, gdzie zarabiała franka dziennie za jedenaście tylko godzin pracy (pracownia utrzymywana była przez jedną z najwięcej szanowanych rodzin miasta). Tegoż dnia wydalono ją z kącika, gdzie chwaliła Boga rano i wieczorem. Trzeba zresztą być sprawiedliwym: gospodarz miał dzieci, musiał zabezpieczyć ich przyszłość; nie powinien był przeto, nie mógł narażać się na utratę sześciu franków miesięcznie, stanowiących opłatę za zajmowaną przez Eufrazyę komórkę.

— Chociaż jest uczciwą — zauważył — nie płaci się jednak podatków uczuciami, a zresztą — dodał, mrugając oczami — może w jej własnym interesie powinienem pokazać się surowym.

O zmroku więc zimowym, gdy wiatr roznosił czyste dźwięki dzwonów, bijących na „Anioł Pański,” drżące i nieszczęsne dziecko szło poprzez zaśnieżone ulice, nie wiedząc dokąd się obrócić i skierowało się ku krzyżowi.

Prowadzona prawdopodobnie przez aniołów, których skrzydła uniosły ją na białe stopnie, padła u stóp krzyża, uderzając głową o drzewo wieczyste i szepeząc naiwnie:

— Boże mój, ześlij mi jałmużnę, bo umrę tutaj.

I stała się rzecz, przechodząca pojęcie ludzkie: oto z prawej ręki odwiecznego Chrystusa, ku któremu wznosiły się błagalne oczy dziewczyny, padła na jej suknię sztuka złota... Ciche uderzenie wraz ze słodkiem i kojącym wrażeniem cudu ożywiło Eufrazyę.

Pieniądz był stuletnią już monetą z portretem Ludwika XVI-go. Przyblakłe złoto błyszczało na czarnej sukni dziewczęcia. Jakaś siła, zesłana od Boga, zesłała widocznie do dziewiczej duszy i umocniła jej odwagę. Wzięła złoto bez zdziwienia, powstała, ucałowała z uśmiechem święte nogi i pobiegła ku miastu. Oddawszy rozsądnemu oberżyscie sześć franków, których się domagał, czekała dnia, tam, wysoko, w swem lodowatym łóżeczku, jedząc w ciemności chleb suchy, z ekstazą w sercu, z niebem w oczach, z prostotą w duszy. Od dnia następnego, przejęta żywą siłą i światłością, poczęła swą świętą sprawę zakonu Sióstr Miłosierdzia w Prowancyi, nie zrażona odmowami, złośliwemi słowy, groźbami ani szyderstwami.

I tak powstało jej dzieło światła.



K O N I E C

286842